

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.



Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. **Kraków, 15 lutego 1908.** **Nr. 7.**

Buldog pogromcą bandytów.

(Treść na str. 4).

MALURSKI 908.

Wypadki w Portugalii.

Straszna tragedya lizbońska nie przestaje zajmować umysłów i uwagi całego świata. I długo jeszcze będą ludzie wspominać i sam fakt zbrodniczy i okoliczności, które go wywołały i jego następstwa, wielkiej doniosłości politycznej.

Dziś stanowi przedmiot ogólnego zainteresowania osoba nowego monarchy Portugalii, młodocianego króla Manuela II., któremu tak niespodziewanie a wśród tak tragicznych okoliczności przyszło objąć ster rządów wzburzonego do głębi państwa. Liczy on obecnie lat niespełna 19. W życiu politycznem nie brał więc dotąd udziału, zwłaszcza że rządy miały przypaść w udziale jego starszemu bratu, zamordowanemu Ludwikowi Filipowi.

Osoby, które młodego króla znają bliżej, zapewniają, że jest to młodzieniec bardzo uzdolniony, umiejący sobie zyskiwać sympatyę, a przytem dzielnego charakteru. Od wczesnej młodości przykładał się pilnie do nauki, okazując wybitne zdolności. Zwłaszcza gorliwie zajmuje się marynarką wojenną, a aby uzupełnić studya morsko-techniczne, uczęszczał do szkoły politechnicznej w Lizbonie. Poza granicami kraju ojczystego nie był jeszcze nigdy. Wychowaniem jego zajmowała się prawie wyłącznie królowa Amalia.

Wiadomo też, że młody król cieszy się sympatyami ludności, którą nadto zjednał sobie swymi pierwszymi krokami, a mianowicie udzieleniem dymisyi dyktatorowi Franco, utworzeniem nowego gabinetu koncentracyjnego, a przedewszystkiem zniesieniem represalii i surowych wyroków nieszczęsnego premiera.



Wypadki w Portugalii: Król Manuel II.

Z powodu wypadków w Portugalii, przypomniał sobie świat osobę Dom Miguela de Braganza, pretendenta do tronu portugalskiego, a oficera armii austryackiej. Jest on w Wiedniu osobistością bardzo znaną, a dawniej nawet dość popularną, z czasów stosunku przyjaźni z arcyksięciem Rudolfem. Na zewnątrz nie przedstawia się on bynajmniej egzotycznie. Jestto typowa postać oficera austryackiego, ale najlepszego rodzaju, bo posiada dość obszerne wykształcenie i ujmujące formy towarzyskie. Ma jednak — a przynajmniej miał — i typowe wady: lekkomyślność, rozrzutność i wielkie lekceważenie przyszłości. Największą wadą jego, jako pretendenta do korony, jest brak odpowiedniego majątku.

W Wiedniu nikt nie sądzi, by Dom Miguel zamierzał w obecnej sytuacyi wystąpić z rewindykacyą swych praw. Jest on zanadto monarchicznie usposobiony, by w chwili, gdy ruch republikański zagraża tronowi, miał osłabiać jego siłę i powagę. Zresztą wypadki i okoliczności obecne nie sprzyjają wcale nadziejom tego rodzaju. W danych warunkach rola pretendenta jest nawet od roli króla o wiele przyjemniejszą, a już z pewnością o wiele bezpieczniejszą.



Wypadki w Portugalii: Minister spraw zagranicznych, Wenceslo da Lima.



Wypadki w Portugalii: Prezydent ministrów, admirał Fereira d'Amaral.



Wypadki w Portugalii: Minister marynarki, admirał August da Castilho.

Jak wspomnieliśmy wyżej, król Manuel II. powołał zaraz po objęciu rządów nowy gabinet, złożony z przedstawicieli wszystkich stronnictw monarchistycznych. Na czele tego koncentracyjnego gabinetu stanął admirał Fereira d' Amaral, jako prezydent i minister spraw wewnętrznych, a w skład jego weszli: Moreira, jako minister skarbu, Campos Henriquez, sprawiedliwości, Castilho — marynarki, Bratiandes — robót publicznych, Mateo Dumes — wojny i Wenceslo Lima — spraw zagranicznych. Młody król spodziewa się, że przy pomocy nowego gabinetu zdoła uspokoić wzburzone umysły ludności, zaprowadzić ład w państwie i przywrócić mu dawną świetność.

A wzburzenie wśród ludności jest stale bardzo silne, ruch republikański nie gaśnie bynajmniej i zapowiada nowemu monarsze niejedną jeszcze gorzką i trudną chwilę. Jak dalece wzrosły niepokoje w Portugalii i jak odczuć się daje brak silnej władzy, dowodzi okoliczność, iż dotąd jeszcze nie wyjaśniono należycie, czy zamordowanie króla i następcy tronu było dziełem anarchistów, czy też portugalskich spiskowców-republikanów. Aresztowania bowiem, jakich dokonano bezpośrednio po wypadku, nie oddały w ręce władz właściwych sprawców, a z zabitych przez straż, otaczającą powóz królewski, trzech osób, jedna była zupełnie niewinną, o dwu innych zaś krążą najrozmaitsze wersye. Ci dwaj, to Manuel dos Reis da Silva Buiça, profesor jednej ze szkół lizbońskich, który miał zadać pierwszą ranę królowi, i Alfred Louis da Costa, który miał zabić następcę tronu.

Miejsce zamachu opustoszało obecnie. Ludność z jakimś zabobonnym lękiem omija je. A jestto jedna z najpiękniejszych części stolicy. „Praça do Commercio“ — plac Handlowy — otoczony jest wspaniałemi budowlami rządowemi. W pośrodku jego wznosi się pomnik Dom Pedra IV., zwrócony frontem ku morzu; domy okoliczne mają piękne fasady arkadowe. Wyjście z placu zamyka łuk tryumfalny, przez który wiedzie droga do właściwej dzielnicy handlowej. Na tej to drodze, ulicy Arsenalskiej, zamordowanym został król Karol i następca tronu.

Zwłoki ofiar zamachu przeniesiono do gmachu arsenału wojskowego, potem zaś do pałacu Necessidades i tam złożono je w jednej z sal na łożach. W głębi sali urządzono prowizoryczny ołtarz, przy którym odbywały się nabożeństwa żałobne.

Pogrzeb króla odbył się w tydzień po zamachu w sobotę w południe, wśród wspaniałych uroczystości żałobnych.

Zjazd polskich górników w Krakowie.

Na zjeździe polskich górników i hutników z Galicyi, Krolestwa Polskiego i W. Ks. Poznańskiego, odbytym w r. 1906, uchwalono cały szereg postulatów. Postulaty te przekazane zostały do przeprowadzenia wybranej na tym zjeździe stałej delegacyi zjazdu, na której czele jako przewodniczący stanął p. St. Kontkiewicz z Warszawy.



Wypadki w Portugalii Minister sprawiedliwości, Campos Henriquez.

W ubiegłą sobotę i niedzielę obradowała w sali stowarzyszenia górniczego w Krakowie stała delegacya, przy współdziale posła do Rady państwa radcy Zarańskiego i delegatów Związku polskich górników. Obrady były bardzo ożywione, a rezultatem ich jest cały szereg donosłych uchwał,

zwłaszcza co do nowo założonej szkoły sztygarów w Dąbrowie, pierwszej polskiej tego rodzaju szkoły na Śląsku, której zarząd oddano w ręce komitetu szkolnego, pod przewodnictwem posła Zarańskiego.

Zajmowano się dalej sprawą rozwoju związku górników polskich w Austryi i powołano na przewodniczącego tego związku hr. Franciszka Zamoyskiego. Związek ten ma swe koła we Lwowie i Borysławiu, a w toku jest założenie kół w Krakowie, Stanisławowie i na Śląsku.

Uchwalono następnie urządzić w 1910 roku II. zjazd górników i wystawę górniczą, oraz załatwiono szereg spraw administracyjnej natury.

Ustąpienie burmistrza-hakatysty.

(Do illustracyi na str. 9).

W dziejach walki polsko-niemieckiej na Śląsku austryackim smutnemi głoskami zapisał swe imię burmistrz stolicy Śląska, dr. Leonard Demel. To też wiadomość o rezygnacyi jego z zajmowanej od 15 lat godności, powitaną została z ogólnem zadowoleniem. Nie pozostawia on po sobie pamięci dobrej nietylko jako poseł i obywatel, ale i jako gospodarz miasta. Jako poseł do rady państwa występował zawsze wrogo przeciw ludności polskiej Śląska i Cieszyna i jemu to należy przypisać wszelkie trudności, czynione przez rząd w sprawie utworzenia gimnazyum, a następnie seminaryum polskiego w Cieszynie. Podobną politykę antypolską uprawiał w Cieszynie. Za jego rządów dokładano wszelkich sił, aby zatrzeć cechę miasta polskiego, a Cieszyn uczynić miastem niemieckiem. Wydział gminny snać dużo musiał myśleć o germanizowaniu obywateli, zamiast dbać o rozwój miasta, skoro dr. Demel po 15 latach swych rządów zostawia w darze z górą 5 milionów długów. Do jakiego stopnia doszło zacietrzewienie wszechniemców pod rządami dr. Demla w radzie miejskiej, świadczy to, że mimo wielokrotnych starań ze strony polskiej ludności, niechce rada utworzyć szkoły polskiej ludowej, ani też prywatnej szkoły „Macierzy szkolnej“ niechce przyjąć na etat gminny, mimo iż uczęszcza do niej 400 dzieci polskich.

Jako obywatel zapisał się równie smutno w pamięci współrodaków. Wielki majątek swego ojca dr. Jana Demla, który przez 30 lat z rzędu sprawował rządy w Cieszynie, umniejszał ustawicznie, aż wreszcie z końcem roku zeszłego rozeszły się pogłoski o bankructwie dr. Demla. Rada gminna i Wydział krajowy śląski wyratowały go na razie z niebezpieczeństwa, kupując majątek jego za sumę 200.000 koron, choć on sam żądał



Wypadki w Portugalii: Praça do Commercio w Lizbonie. Po prawej pomnik Dom Pedra IV., po lewej łuk tryumfalny, przez który prowadzi droga ku ulicy Arsenalskiej.



Wypadki w Portugalii: Pałac Necessidades w Lizbonie, rezydencya królów portugalskich.



Wypadki w Portugalii: Sala Karola I. w pałacu Necessidades, w której do pogrzebu spoczywały zwłoki obu ofiar zamachu.



Wypadki w Portugalii: Zwłoki Alfreda Louis da Costa, zabitego przez policyę uczestnika zamachu i sprawcy śmierci następcy tronu, oraz zwłoki niewinnego Joaa Sabino.



Wypadki w Portugalii: Zwłoki Manuela dos Reis da Silva Buiça, uczestnika zamachu i sprawcy śmierci króla.



Wypadki w Portuglii: Pretendent do tronu portugalskiego, Dom Miguel de Braganza, z małżonką.

68.000 koron. Mimo to nadszarpniętego imienia nie zdołał już dr. Demel naprawić i widział się zmuszony z tego powodu ustąpić. Mandat do Rady państwa podobno zatrzyma, gdyż jest to mandat w każdym razie stracony dla liberałów niemieckich.

„Elektryka“ w Warszawie.

Warszawka ma nową sensacyę uliczną. Sensacyę dużych rozmiarów i bardzo „głośną“. W dniu 7 bm. rano wyruszyły na ulice miasta na próbę, po raz pierwszy, tramwaje elektryczne. Mimo fatalnej aury, mimo śnieżycy i zadymki, tysiące przechodniów zatrzymywały się, aby oglądać z bliska niewidziane dotąd „dziwowisko“. Oczywista też, że i rozmowom na temat tramwajów nie było końca, a dorożkarze przyjęli nowość pogardliwem wzruszeniem ramion i życzeniami...

Próba wypadła zupełnie zadawalniająco. Z remizy na Woli wyruszyły jeden za drugim trzy wagony w kierunku przez ulice: Wolską, Chłodną, Mirowską (Hale), Graniczną, Królewską, Marszałkowską i Aleję Jerozolimską w stronę dworca Kaliskiego. Próbie towarzyszyła część personalu administracyjnego i inżynierya tramwayów na samochodzie. W Alei Jerozolimskiej, gdzie — jak wiadomo — ruch kołowy bywa zwykle mniejszy, zwiększono do maximum tempo jazdy. Na przestrzeni od Marszałkowskiej do dworca Kaliskiego w obu kierunkach kursowały wagony około trzech godzin. W dalszym ciągu mają być wypróbowane pozostałe wagony motorowe, których obecnie w Warszawie znajduje się 179. Jeden, salonowy (180 ty) nadejdzie z zagranicy za parę tygodni, jak również jeszcze 10 zwykłych motorowych, dodatkowo zamówionych.

Skon księcia saskiego.

W sędziwym wieku, przeżywszy lat 82, zmarł przed kilku dniami na swym zamku książe Ernest sasko-altenburski, jeden z członków bardzo rozgałęzionego rodu saskiego. Urodzony 1826 r., jako syn księcia Jerzego i Maryi ks. Mecklenburg-Schwerin, kształcił się wraz z bratem Maurycym w Jenie, Lozannie i Genewie, a następnie poświęcił się specyalnie studyom wojskowym we Wrocławiu. Był też oficerem armii niemieckiej, w r. 1853 porzucił jednak służbę wojskową, a ożeniwszy się z księżną Agnes Anhalt-Dessau, objął w tym samym roku rządy księstwa, osierocone z powodu skonu ks. Jerzego. W dalszem jego życiu, poświęconem przeważnie sprawom księstewka, zaznaczył się wybitniej tylko r. 1870, rok wojny francusko-niemieckiej, w której wziął czynny udział; uczestniczył mianowicie w oblężeniach Toulu, Soissons i Paryża, nadto walczył przeciw francuskiej armii południowej.



Skon księcia saskiego: Ks. Ernest sasko-altenburski.



Aparatem red. Wł. L.

Zjazd polskich górników w Krakowie: Członkowie stałej delegacyi zjazdu polskich górników. Poseł Jan Zarański (X); obok niego na prawo: prezes delegacyi p. St. Kontkiewicz z Warszawy i Franciszek hr. Zamoyski z Borysławia.



Fot »Świteź«, Warszawa.

»Elektryka« w Warszawie: Tłumy publiczności warszawskiej, oglądające pierwszy wóz tramwaju elektrycznego.

Buldog pogromcą bandytów.

(Do illustracyi tytułowej.)

Bardzo niezwykły wypadek zaszedł przed kilku dniami w Paryżu. Oto do jednego z tamtejszych szynków wtargnęło pięciu bandytów i zażądało wina, gdy zaś szynkarz odmówił, dobyli rewolwerów z kieszeni i zagrozili mu śmiercią. Przerażony szynkarz zawołał na pomocnika, a ten pospieszył natychmiast na pomoc z buldogiem, należącym do szynkarza. Pies, ujrzawszy postawę groźną bandytów, rzucił się na pierwszego z brzegu i ugryzł go tak mocno, że bandyta przewrócił się skrwawiony na ziemię. Wówczas buldog poskoczył ku drugiemu, gdy tymczasem trzej pozostali zwrócili się co prędzej do ucieczki. Zawzięty pies pogonił za nimi. Przed domem pogryzł i powalił na ziemię trzeciego, a czwartemu, który dobiegł już był do furtki ogródka, znajdującego się przed szynkiem, urwał kawał łydki. Obaj bandyci, powaleni w sklepie, mają poprzegryzane gardła, to też lekarze wątpią, aby mogli utrzymać ich przy życiu. I trzeciego rana jest ciężka, ma bowiem rozerwaną dolną część brzucha.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

13 (Ciąg dalszy).

Dotknęło go przykro to, że obie kobiety nie oczekiwały go z należytym szacunkiem i wdzięcznością, gdy on, kamienicznik, kupiec, taki poważny obywatel, przyszedł tu, ażeby je uwolnić od nędzy i biedy. Patrzał z nietajonym gniewem na rozrzucone sprawunki, które piętrzyły się na oknie i pomyślał z pewnem złośliwem zadowoleniem:

— No, poczekaj panno, skoro będziesz moją żoną, wezmę ja cię w kluby. Żadnych fatałaszków, stare znoś, a dopiero kupuj co taniego.

Ta myśl ujęcia w swe silne dłonie wszelkich zachceń i kaprysów Janiny uspokoiła go cokolwiek i gdy weszła matka, uniewinniając się, że czekał tak długo, rzekł rozpogodzony:

— Mogłaby pani i panna Janina nie robić ze mną tych ceremonii, czy to ja młokos? wiercipięta? Dla mnie nie nowina biały kaftanik kobiecy, ja tam nie łasy na bieliznę kobiecą — zaśmiał się głośno i puścił kłąb dymu z taniego cygara.

Zakrztusiła się matka Trawecka, bo dym popłynął wprost w jej odchylone usta i po chwili powiedziała z godnością:

— Znajomość znajomością, a co wypada nam kobietom, my wiemy najlepiej same.

— E, co tam po próżnicy gadać... grunt w tem, że chcę pomówić z panną Janiną. Czy będzie zaraz gotowa? bo to i sklep opuściłem i przyszedłem po to właśnie.

— Jak już mówiłam panu Łuce, ona musi go bliżej poznać...

— Alboż nie znamy się tyle lat!?

— Inna znajomość ze sklepu, z ulicy, a inna znajomość do świętego sakramentu małżeńskiego.

— Jakże mnie pozna, gdy będzie w Horyni? — zaśmiał się. Ja na amory nie będę jeździł, na to jestem za poważny... Ja szczery człowiek, co myślę to i mówię. Alboż to mnie ludzie nie znają? czy to ja nie obywatel? Czy ja łazik, co to miejsca nie zagrzeje? Czy co?

Janina, słuchając tych słów za parawanem, uśmiechała się, bawił ją bowiem ten konkurent i sposób postawienia kwestyi.

— Panie Łuka — odezwała się matka — małżeństwo to połączenie na całe życie, to nie zabawa... Janinka musi się namyśleć, zastanowić, czy godnie odpowie stanowisku żony kupca i kamienicznika. Mogę zapewnić pana, że ona zrozumie, jaki pan dobry i bezinteresowny, a zresztą wola stryja, który jej ojca zastępuje, jest dla niej święta. Idzie o czas, bo pan wie, że co nagle, to po dyable — uśmiechnęła się słodko.

Janina, słuchając słów matki, szarpnęła tak gniewnie kołnierzykiem sukni, który właśnie zapinała, że zerwała haftkę i szepnęła do siebie:

— I po co to kłamstwo? Dlaczego oszukiwać go?

Wyszukując szpilki do zapięcia, namyśliła się, że przecież nie może zadawać kłamu matce i musi odegrać przeznaczoną jej rolę. Wyszła więc i podała mu rękę grzecznie, ale chłodno, a gdy ją chciał dłużej zatrzymać w swej grubej, namulonej dłoni, wysunęła ją zręcznie. Usiadła przy matce, a Łuka odsapnąwszy i puściwszy kilka kłębów dymu, otarł kraciastą chustką czoło spocone i wpatrując się w nią małemi, świdrowatemi oczyma, rzekł:

— Pani Trawecka, mama pani oświadczyła mi, że przed zamążpójściem chciałaby mnie pani poznać. Czy tak?

Janina skinęła głową poważnie, patrząc krytycznie na twarz jego zmęczoną i zmarszczoną.

— Otóż ja pani powiem, jak jestem szczery i uczciwy człowiek, znający życie, że człowieka nie poznaje się z wizyt, z nadskakiwań, z amorów, ale trzeba z nim żyć, ot co! Ja będę szanował panią, dbał o nią i jej rodzinę, nie pożałuję grosza na przyjemności i sukienki, a ja kupiec, co powiem, to dotrzymam. Cały ten czas poznania, to na nic się nie zda... Bierz mnie pani jaki jestem, albo nie... to jest moja rada i moje żądanie.

— Ależ panie Łuka, trudno młodej pannie tak obcesowo... — zaczęła matka tonem perswazyi.

— Nie mówię do pani — zawołał dość opryskliwie — ale pytam panny Janiny... Niechże ona odpowie.

— Janinko! — spojrzała wymownie na córkę, a w oczach jej malowała się obawa, że odmową stanowczą zrazi bogatego stryja.

— Panie Łuka — zaczęła spokojnym tonem— przyszedł pan do nas, obejrzał mnie pan jak sprzęt, wystawiony na licytacyę i chciał mnie pan kupić. Otóż ja nie jestem na sprzedaż. Jesteśmy sobie równi, a chcąc żyć zgodnie i przyjaźnie ze sobą, musimy wpierw poznać siebie i nauczyć się wzajemnie szanować. Teraz zrozumie pan, dlaczego żąda mama czasu do namysłu i poznania pana.

— Czy to ostatnie słowo? — spytał chmurny.

— Janinka przecież panu nie odmawia — zaczęła szybko matka — żąda poznania bliższego, ażeby żyć zgodnie i uczciwie.

— Hm... hm... — odkaszlnął — dla panny Janiny czas jest niczem w jej wieku, ale ja potrzebuję gospodyni, żony... ileż czasu potrzebuje pani — zwrócił się do Janiny — ażeby mnie poznać?

— To zależy — powiedziała półgłosem.

— Może pół roku, może trzy kwartały... Tam na prowincyi znudzi się jej, zatęskni do miasta, to i prędzej będzie.

— Ano, jak nie może być inaczej, niech i tak będzie... ale za narzeczoną będę ją już uważał.

— Po zaręczynach — zawołała Janina z żywością — a do tego czasu każdy z nas ma wolną wolę.

— Hej, gdyby mi się panna Janina tak nie udała, powiedziałbym inaczej — westchnął — ale pani mi tak przed oczyma, że trudno wytrzymać. Pozwólże mi panno Janino ucałować twoją rękę— wziął w swą dłoń i przycisnął do ust — pamiętaj, że czekam i wszystko gotowe na przyjęcie... a do Horyni wpadnę po dobre słowo.

Wstał. Widać było, że trudno mu odejść, rozejrzał się po izbie, po sprawunkach i spytał:

— Kiedyż pani jedzie?

— We czwartek.

— Dajże Panie Boże szczęśliwie... no i do widzenia.

Pożegnał się i wyszedł.

— Ach, Janinko, jaka ty szczęśliwa! — zawołała matka z uśmiechem zadowolenia.

— To nie ja — odrzekła chmurnie — to moje ciało... ale co tam, idzie moja mamo o to, że na drugi raz niech mnie mama nie zmusza do kłamstwa i udawania. Z takim jeszcze gruboskórnym burżujem, to ujdzie, ale z człowiekiem byłabym wbrew słowom mamy szczerą a nawet otwartą.

— Ależ Janinko, to idzie o stryja — usprawiedliwiała się — o rodzeństwo, o mnie...

— Wszystko mi jedno... W mojem imieniu niech mama nic nie przyrzeka i do niczego się nie zobowiązuje. O to bardzo proszę mamy.

— No, dobrze, dobrze, a teraz czas nam do krawcowej.

X.

Wyjechała rannym pociągiem, przeprowadzona aż do wagonu przez całą rodzinę. Przy pierwszym dzwonku już weszła do wagonu i wychylona z okna rozmawiała z matką. Tych kilka minut do ruszenia wagonów wlokły się całą wieczność. Za dużo ludzi, ażeby powiedzieć coś poufnego, szczerego... za blisko swoi, którzy żegnają, ażeby spokojnie rozglądać się w kalejdoskopie podróżnych wsiadających i wysiadających... i co chwila utyka banalna rozmowa, kończąca się słowami: pamiętaj, uważaj, pisz...

Wreszcie konduktorzy poszczególni podnieśli w górę klucze od drzwiczek, prowadzący pociąg nadkonduktor dał znak, lokomotywa gwizdnęła, jeszcze ostatnie szczere:

— Do widzenia! — i z głuchym turkotem ruszyły wagony.

Została sama, gdyż dwie panie, jadące w tym samym przedziale, były zajęte bardzo zajmującą historyą swoich zwierzeń.

Przez chwilę myślała o matce, rodzeństwie, uczuła nawet pewne zadowolenie, że spostrzegą brak jej w domu, że będą ją często wspominali... Obraz za obrazem z jej domowego życia przesuwał się przed nią i zdziwiła się, że nie uczuwa ani tęsknoty, ani żalu, tylko ma w sobie poczucie ulgi i wolności.

— Proszę o bilet — odezwał się wchodzący konduktor.

Z nowej portmonetki, którą sobie kupiła, wyjęła nie bez odcienia dumy kartę upoważniającą do jechania drugą klasą. Konduktor uważnie odczytał, obrzucił ją badawczem spojrzeniem i oddając, rzekł z uśmiechem:

— Pani do Horyni... dosyć kłopotliwa stacya.

To określenie konduktora zwróciło jej myśli ku Horyni. I jak z kądzieli wije prządka nić na wrzeciono, tak ze wzmianki o Horyni zaczęła Janina snuć plany i marzenia o życiu na stacyi. Jaki naczelnik? koledzy? mieszkanie? życie?... Zaniepokoiła się, że nie wzięła ze sobą innych mebli, prócz stolika, krzesła i żelaznego łóżka. Będzie ubogo, jak w celi więziennej, ale to jej pokój; niepodzielną panią w nim będzie. I tak głęboko zamyśliła się nad nowymi stosunkami swego życia, że dopiero głos konduktora, który wszedł do przedziału i uprzejmie rzekł:

— Dojeżdżamy do Horyni — przebudził ją.

Szybko zerwała się i spojrzała w okno. Las młody, świerkowy ciągnął się wzdłuż toru kolejowego, przerżnięty tu i ówdzie drogą i drożynami, zarośniętemi bujną trawą i kwiatami leśnymi. A z drugiej strony toru, pola uprawne, kończące się dość wysokimi pagórkami, pokrytymi ciemnym lasem. Lecz im bliżej stacyi, tem więcej budynków od strony roli, a za stacyą dojrzała cały szereg kominów wysokich, czerwonych, z których dobywały się czarne kłęby dymów.

Mimowolnie odczuła pewne drżenie z niepokoju i oczekiwania. Gorączkowo zdjęła z półek swe rzeczy i pakunki dosyć liczne i ciężkie, narzekając w duszy, że usłuchała matki i zamiast kupić kosz i tam wszystko zapakować, przez oszczędność zabrała do wagonu ręczne pakunki.

Nadbiegł posługacz, wskazała mu swe rzeczy i wysiadła z wagonu. Rozejrzała się. Sam budynek stacyjny, piętrowy, w stylu t. zw. kolejowym, czyli banalny, bez proporcyi, coś z koszar, coś z dawnych zajazdów miasteczkowych, z przybudówkami przyłatanemi niezgrabnie, z chodnikiem kamiennym od toru, nakrytym niskim dachem w jasnem słońcu czerwcowem wydawał się brudno-żółtym i zaniedbanym. Obok dworca anemiczne drzewa, miały wygląd chorych, przykutych do ziemi, zawsze smutnych niewolników.

Na peronie kamiennym hałas, krzyk, wołania, dzwonki i podróżni rozgorączkowani, niespokojni. Wśród tego tłumu ruchliwego idzie miarowym krokiem, z wielką powagą, rozglądając się bacznie wokoło, urzędnik ruchu, widoczny po czerwonej czapce i umundurowaniu. Wysoki, szczupły, z maską powagi na twarzy dość młodej, z wąsami nastroszonymi dość modnie, i tylko od czasu do czasu w oczach dobrych i łagodnych błyśnie wesołość, spojrzy ukradkiem na ładne kobiety, lecz na widok podwładnych przywołuje na twarz wyraz surowości. Spostrzegł on wysiadającą Janinę, zerknął w jej stronę, dojrzał posługacza niosącego powiązane pakunki i mruknął:

— Ładna... ładniejsza od swych tobołków.

Odbierając raport od nadkonduktora nie spuszczał z niej oczu i widział, że rozgląda się niespokojnie i waha się.

— Gdzie złożyć rzeczy? — zawołał posługacz — może na furmankę?

— Nie... proszę zanieść do poczekalni... zaraz dowiem się...

W czasie podróży układała sobie frazesy, była bardzo śmiała i odważna i w myśli poszło wszystko bardzo dobrze, składnie i łatwo. Ale na miejscu?! Gdzie iść? kogo spytać o drogę? o swe mieszkanie? gdzie podziać kosz z rzeczami i pościelą? gdzie te nędzne meble? A na dobitek czuła na sobie spojrzenia ciekawe mężczyzn, żydów, posługaczy... Chyba spyta dyżurującego urzędnika w czerwonej czapce, już zrobiła kilka kroków i stanęła. Tyle nasłuchała się o nadzwyczajnem zajęciu urzędnika, że postanowiła zaczekać do odejścia pociągu. Usiadła na drewnianej ławeczce na peronie, co zauważyli młodzi urzędnicy z pobliskich fabryk i poprawiając kołnierzyki i kapelusze, przechodzili wolnym krokiem tuż obok niej, żartując, śmiejąc się, zaglądając w jej oczy.

— Rzeczy złożyłem — oznajmił posługacz — ma pani bagaż? — spytał od niechcenia, bo ręczne pakunki wydały mu się dość marne i nie spodziewał się hojnej zapłaty.

— Mam... ale to później — dodała, bo i gdzież każe je znieść?

Te minuty postoju dłużyły się jej nadzwyczajnie, wreszcie trzy uderzenia dzwonka, bieganina, krzyki, nawoływania, zatrzaskiwania drzwiczek i wołanie:

— *„Fertig!“* — gdyż w umysłach naczelników służby ruchu, to słowo jest lepsze i dogodniejsze od naprzykład „gotów!“ lub „już!“

Zaledwie ruszył pociąg osobowy, dało się słyszeć przeciągłe gwizdnięcie lokomotywy pociągu towarowego. Urzędnik dyżurujący wydawał gromkim głosem rozkazy:

— Panie „Zugsführer“, trzeba zrobić „los“ od „diwersaka“.

Słuchała, nie rozumiejąc znaczenia tych słów,

i mimowolnie odczuwała pewien szacunek, że ten pan zna tak biegle techniczne wyrazy kolejowe. Wstała, aby zbliżyć się do niego, gdy znów rozległa się komenda:

— Te dwie „lory“ trzeba dać na „schub“, ale ostrożnie, bo na „szturcu“ stoją „rolwageny“.

Nie rozumiejąc sama, dziwiła się, że niższa służba w bluzach, z chorągiewkami w ręku, nietylko rozumie, ale spełnia szybko i dokładnie wydane rozkazy. Dyżurujący patrzał bacznie na czynności służby, a Janina uznała tę chwilę za stosowną do poinformowania się. W jasnej, szarej sukience, z twarzą zarumienioną i niespokojną, podeszła i spytała z wahaniem w głosie:

— Czy mogę widzieć się z panem naczelnikiem Kurczyńskim?

Surowa twarz jego natychmiast się rozpogodziła i odpowiedział tonem bardzo uprzejmym:

— Pan naczelnik w tej chwili zajęty... ale bardzo chętnie załatwię sam tę sprawę. O co idzie proszę pani?

— O co? — zawahała się.

— Czy to sprawa urzędowa, czy prywatna? — dopytywał się dyskretnie.

— Urzędowa.

— W takim razie, ja jestem jego zastępcą, proszę, mów pani.

— Jestem Trawecka, otrzymałam posadę kasyerki.

W oczach urzędnika błysła pewna niechęć i rzekł grzecznie ale chłodno:

— Chrustowski — podał rękę, ukłoniwszy się po wojskowemu — pani zechce udać się osobiście do pana naczelnika — i skinąwszy na jednego ze służby rzekł krótko: — zaprowadź do biura pana naczelnika.

Oddał ukłon ceremonialny i zajrzał do papierów, które miał w ręku.

Janina dostrzegła tę nagłą zmianę tonu i zachowania się, dotknęło ją to, ale na razie nie miała czasu zastanawiać się nad tem i poszła za posługaczem. Przez brudny korytarz i po skrzypiących, dość stromych schodach weszła na pierwsze piętro. Posługacz, który stąpał na palcach, szepnął półgłosem wskazując ręką drzwi:

— Tam pan naczelnik – i znów na palcach szybko się oddalł.

Janina z biciem serca zapukała lekko do wskazanych drzwi, a nie usłyszawszy odpowiedzi, zapukała głośniej.

— A kto się tam tłucze? — odezwał się gniewliwy głos.

Janina otworzyła drzwi i zobaczyła dość otyłego blondyna, z włosami szpakowatymi, siedzącego przy biurku z piórem w ręku. Spojrzał na nią przelotnie, znów na arkusz leżący przed nim i spytał tonem niechętnym:

— Czego pani chce?

Janina przymknęła drzwi, postąpiła krok jeden, stanęła i wyjąkała:

— Przyjechałam na posadę kasyerki... Trawecka.

Poprawił się na fotelu, zwrócił swą pełną twarz do niej, przyjrzał się bacznie i rzekł:

— Proszę bliżej... siadaj pani — wskazał krzesło — więc to panna Trawecka, hm... hm... wiem o pani... Zna pani służbę kasową?

— Zdawałam egzamin przed rokiem.

Naczelnik machnął ręką ozdobioną sygnetem i ślubną obrączką i powiedział tonem lekceważącym:

— Furda panie... co tam egzamina, teorye... praktyka grunt. Dlaczegoż nie powiedziała pani: nie znam. U mnie prawda grunt... proszę pamiętać o tem — podkręcił szpakowatego wąsa, przyjrzał się jej z ciekawością i mówił: — no, będziemy mieli trochę kłopotu, ale też mamy ładną kasyerkę — uśmiechnął się.

— Postaram się nauczyć...

— Tak każdy mówi — zaśmiał się — ano zobaczymy... Była pani w swem mieszkaniu?

— Nie... przyjechałam niedawno...

— A... „personką“... to dobrze. Po objedzie pójdzie pani do kasy na naukę...

— Dobrze panie naczelniku.

Patrzał w jej oczy, czekając wrażenia i rzekł dobrodusznie:

— Był tu onegdaj pan inspektor Lerche... obejrzał mieszkanie... kazał umeblować.

Janinę dotknęła wzmianka o inspektorze i zarumieniona powiedziała szybko:

— Przywiozłam własne meble... Nie mam z czego płacić za umeblowanie.

— Zwolna, zwolna — uśmiechnął się — to nie są meble pana inspektora, to kolejowe... nie potrzebuje pani płacić za nie... Klucz u portyera — skinął głową — on panią zaprowadzi lub da kogoś.

Na jej ukłon skinął lekko głową i patrząc za odchodzącą mruknął:

— Hm... ten Lerche ma dobry gust... szkoda dziewczyny, ale czy to pierwsza, czy ostatnia? — i machnąwszy ręką wziął się do pisania.

Zaledwie jednak umoczywszy pióro w kałamarzu zdołał zrobić przecinek, boczne drzwi kancelaryi otworzyły się szeroko i do biura weszła pani naczelnikowa, brunetka niemłoda, dobrej tuszy, z twarzą dumną i surową. Stanęła naprzeciw siedzącego i patrząc mu w oczy, spytała tonem suchym i ostrym:

— Kto tu był przed chwilą?... Tylko mów prawdę, słyszałam...

— No, kiedy słyszałaś, to wiesz — usiłował zażartować.

— Bez tych wybiegów. Kto był?

— Nowa kasyerka.

— Kasyerka?... dziewczyna taka młoda? Widziałam ją przez okno.

— No i cóż z tego?

— To nie dość, że lampartujesz się poza domem, w mieście, ale tu sprowadzasz sobie? Pod moim bokiem, nie wstyd ci córek!? Ale nie pozwolę na to, albo ona, albo ja? Wybieraj.

— Moja Fipciu, uspokój się, masz tu rozporządzenie dyrekcyi — wyszukał papier i podał.

Wzięła w rękę i pogardliwie rzuciła na stół, mówiąc drwiąco:

— Znam ja wasze kawały... sam prosiłeś, nalegałeś, a teraz zastawiasz się dyrekcyą... i zapowiadam ci Klemensie, że nie zniosę tu na naszej stacyi kasyerki żadnej.

— Ależ zlituj się Fipciu... to wprost niemożliwe... ona otrzymała posadę i muszę ją przyjąć. Zrozumże moje dziecko... przecież nie wiedziałem o niczem, dopiero Lerche uwiadomił mnie urzędownie.

— Prawdę mówisz? — spojrzała po inkwizytorsku.

— Jak ciebie i dzieci kocham — uderzył się w piersi — nic a nic nie wiedziałem.

— Jakże się ona nazywa?

— Trawecka — i poszukawszy w papierach dodał: — Janina.

— Trawecka? Trawecka? — powtórzyła z namysłem — coś słyszałam!... Acha, to ta socyalistka, ze Stańskim?

— Tak, kochaneczko — powiedział słodkim głosem — jaką ty masz dobrą pamięć.

— A cóż oni tam w dyrekcyi sobie myślą? — oburzyła się szczerze — czy to nasza stacya ma być przytułkiem socyalistów? lampartów? upadłych dziewcząt?... Ładny z ciebie naczelnik — drwiła — taka malowana lala... każdy robi z tobą, co zechce. Zamiast pójść do dyrekcyi przedstawić, że masz żonę, córki, że nie możesz tolerować socyalistów i socyalistek z ich wolną miłością, tobie w to graj... rozpustniku jakiś.

— Moja złota Fipciu, przecież ja nie decyduję, tylko dyrekcya.

— Więc niechże ją posyłają tam, gdzie naczelnik kawalerem, ale nie do nas.

— No, tak... masz słuszność...

— Ja zawsze mam słuszność... już ja sama powiem inspektorowi, to przecież wstyd dla nas i moje córki będą patrzały na takie rzeczy bezecne. Ach, mój Boże! — załamała ręce z miną nieszczęśliwą.

— To Fipciu tylko kilka miesięcy, może tygodni — pocieszał mąż.

— Kiedy będzie tu Lerche? — spytała ocierając oczy z niewidzialnych łez.

— Lerche? hm... Lerche, powiadasz? hm... nie mów z nim o tem, proszę cię bardzo.

— A to co nowego!? Lerche bywa u nas, ile razy przyjedzie... zdaje się nawet, że Alisia wpadła mu w oko, człowiek z pozycyą, rozumny... on pojmie tę dwuznaczną pozycyę naszą... Socyalistka i Alisia pod jednym dachem, to oburzające.

Naczelnik z chmurnego stał się posępnym. Sprawa wikła się fatalnie. Jeśli powie, że Lerche protegnje Trawecką i umeblował jej mieszkanie, polecił względom... żona wybuchnie i w swojem imieniu i córki Alisi zrobi „piekło“, jak zwykł był mówić. Jeśli nie powie, a służba doniesie, nowe „piekło“, że ukrywał, że jest płaszczykiem romansów, że spiskuje wspólnie, że jest wyrodnym ojcem... Wszystko to stanęło mu żywo przed oczyma... I co począć? Jeszcze się namyślał, gdy żona zawołała surowo:

— Cóż milczysz, jak trusia? Mów, radź, od czegożeś ty mężem, głową domu! Czy ja mam i myśleć za ciebie?

— Dobrze Fipciu, wszystko się zrobi, uładzi, tylko nie nagle... zwolna... stopniowo... już ja się ich obojga pozbędę i Stańskiego i Traweckiej.

Żona bacznie spojrzała na zapracowanego męża i spytała:

— Słuchaj Klemensie, ty coś ukrywasz przedemną?

— Ja?... Ależ co znowu?

— Teraz to już napewno, znam przecież ciebie... więc mów.

— Co?

— To, co ukrywasz.

— Ależ nie, jak ciebie kocham — nagle przyszło mu na myśl, a jeśli ona się dowie o umeblowaniu mieszkania i przezornie dodał na wszelki wypadek: — to tylko domysły...

— Jakie?

— Powiem ci później, teraz mam bardzo pilną robotę — dodał, zabierając się do pisania.

— Nie ucieknie robota... mów, jakie to domysły?...

— Nic ważnego... tak sobie... hm... sądzę, że ona musi mieć protekcyę.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Kto tu był przed chwilą?... tylko mów prawdę, słyszałam....

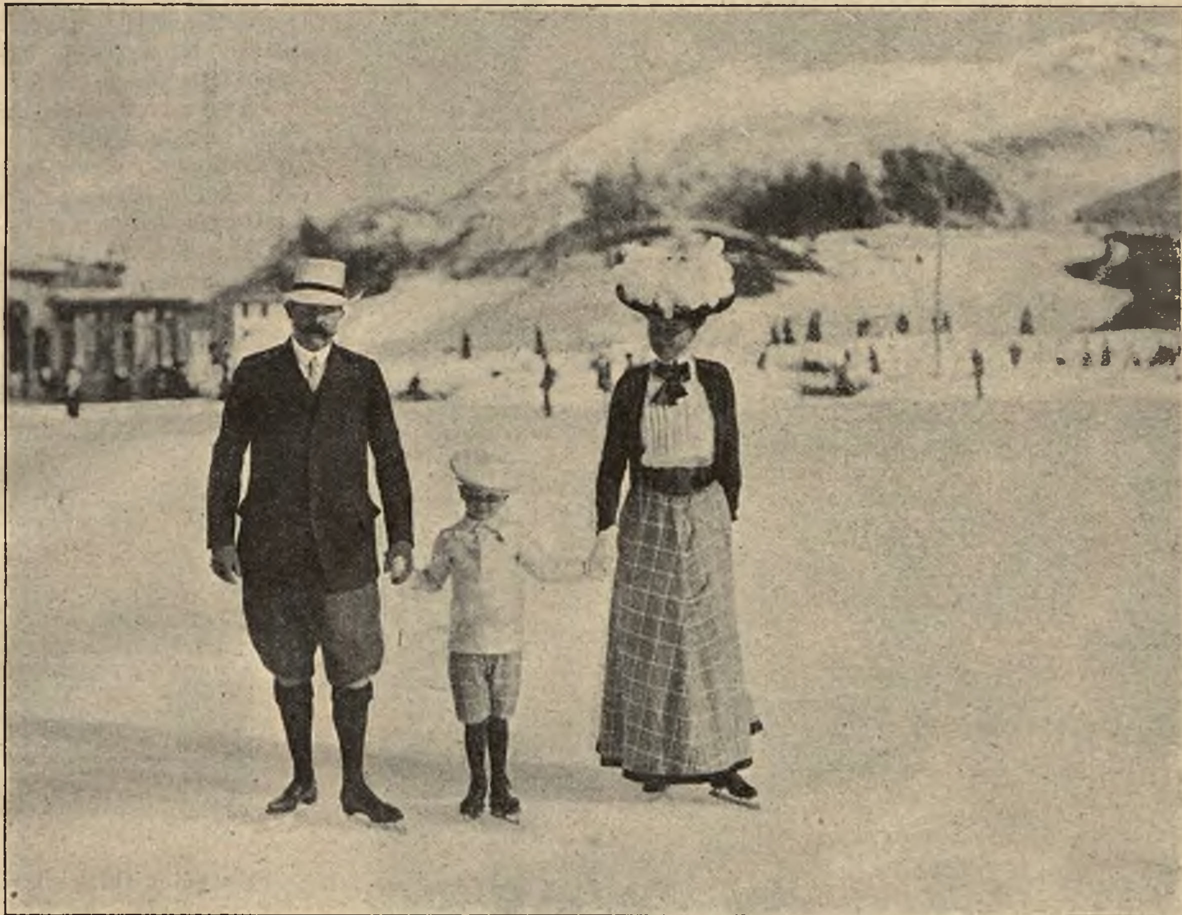
Szybka karyera.

Żaden jeszcze z polityków bułgarskich nie zrobił tak szybkiej i świetnej karyery, jak nowy, przed kilkunastu zaledwie dniami na to stanowisko powołany prezydent ministrów Aleksander Malinow. Gdy poprzednio każdy premier bułgarski musiał przejść przez długoletnią służbę państwową i spełniać obowiązki ministeryalne w różnych gabinetach, Malinow dostał się na fotel premierowski wprost z ławy poselskiej i to z nielicznej i mało popularnej w kraju grupy posłów starodemokratycznych.



Szybka karyera: Aleksander Malinow, nowy premier bułgarski.

Aleksander Malinow, urodzony w r. 1867, po ukończeniu gimnazyum wstąpił do kijowskiego uniwersytetu na wydział prawny. Kiedy ukończył studya, powrócił do ojczyzny, gdzie został mianowany sędzią w Filipopolu. Od tego czasu dzięki niepowszednim zaletom charakteru i wysokiemu wykształceniu posuwał się szybko w górę. Po dziesięciu latach opuścił służbę sądową z powodu wyboru swego do sobrania. Tutaj dał się poznać księciu Ferdynandowi, który też polecił mu obecnie utworzenie nowego gabinetu.



Fot. Bruner-Dvorak z Pragi.

Następca tronu w St. Moritz: Arcyksiążę Franciszek Ferdynand z żoną, ks. Hohenberg i synem Maksymilianem na torze łyżwiarskim.

Następca tronu w St. Moritz.

Pobyt austryackiego następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego rodziny w St. Moritz w Szwajcaryi przeciągnął się nadspodziewanie długo. Niema w tem nic dziwnego, okolica bowiem tej miejscowości ma tyle w sobie uroku, przyroda tak hojnie rozsypała tam prawdziwe piękności, iż niechętnie się je porzuca.

Arcyksiążę Franciszek Ferdynand bawi w St. Moritz właściwie incognito, pod nazwiskiem hr. Amstetten. Z tego powodu nie krępuje się tam ceremoniałem dworskim, lecz z całą swobodą oddaje się z żoną, ks. Hohenberg, oraz dwoma synkami, ulubionym sportom zimowym.

Jak już poprzednio pisaliśmy, bawi obecnie w uroczej tej miejscowości szwajcarskiej mnóstwo arystokracyi i członków domów panujących. Między innymi przebywają tam następca tronu niemieckiego z żoną, arcyksiążę Chrystyan duński



Fot. Bruner-Dvorak z Pragi.

Następca tronu w St. Moritz: Grono łyżwiarzy na torze w St. Moritz. 1. Arcyks. Franciszek Ferdynand; 2. Księżna Hohenberg; 3. Żona niemieckiego następcy tronu, Cecylia.

z żoną, książe Bernard Lippe-Detmold i wielu innych.

Sezon tegoroczny w St. Moritz jest właśnie w pełni. Sportowcy jednak narzekają na łagodną zimę i małe opady śnieżne, skutkiem czego saneczkowanie i jazda na nartach są bardzo utrudnione. Natomiast sport łyżwiarski ma więcej warunków do rozwoju, stąd tor miejscowy jest niemal każdego dnia zapełniony. Również turystyka cieszy się wśród gości tamtejszych dużem powodzeniem, a piesze wycieczki w góry dają najlepszą sposobność do zaznajomienia się z przecudną okolicą. Jedna z rycin, zamieszczonych w dzisiejszym numerze, przedstawia arcyksięcia następcę tronu z żoną i młodszym synkiem, druga zaś prócz nich wytworne grono gości na torze łyżwiarskim w St. Moritz.



Dobrowolne tortury: Uroczystość samobiczowania w Persyi.

Dobrowolne tortury.

Jako jeden z niezwykłych objawów fanatyzmu religijnego wyznawców Mahometa, pozostał dotychczas w Persyi zwyczaj samobiczowania. W dzień uroczystości „Maharlam", czyli „Obnażonych pleców", ulice wiodące do meczetów, zajęte są całemi masami fanatycznych Persów wszelkiego wieku, którzy z imieniem Ałłaha na ustach, biczują się rzemiennemi dyscyplinami, o końcach, oplecionych stalowym drutem.

Bolesna ta uroczystość zaczyna się zazwyczaj w ciszy i skupieniu, stopniowo jednak biczujący się tłum poddaje się coraz większemu roznamiętnieniu, wierni coraz głośniej poczynają wzywać Ałłaha, zrzucają z siebie odzienie i biczują się po gołem ciele aż do utraty przytomności. Widok ociekłych krwią pleców podnieca cały tłum, który wśród krzyków przeraźliwych tarza się w jakiemś szalonem zapamiętaniu po ziemi, aż wszyscy wyczerpani, popadną w masowe omdlenie. Zdarza się nieraz podczas uroczystości takiej, iż wierni, zachęcani przez swych kapłanów derwiszów, zabiczowują się na śmierć.

Zapomniany bohater.

Jeden z najsławniejszych generałów węgierskich, którego imię przed kilkudziesięciu laty głośne było na całym świecie, obchodził przed kilku dniami w ciszy i zapomnieniu dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin.

Gdy Węgrzy rozpoczęli w 1848 r. wojnę o niepodległość, trzydziestoletni podówczas Artur Görgey wstąpił jako kapitan do armii powstańczej i w krótkim czasie objął nad nią naczelne dowództwo. Żarliwy rewolucyonista, a zarazem dzielny żołnierz, pełen szalonej odwagi, zwrócił na siebie powszechną uwagę. Niezwykłe zdolności strategiczne okazał zwłaszcza przy zdobywaniu Budy, a także podczas umiejętnego cofania się przed następującym z wielką masą wojska generałem Schlickiem.

Görgey w przeciwieństwie do republikanina Kossutha, był zwolennikiem rządów monarchicznych, konstytucyjnych, z tego też powodu przychodziło między nimi do ostrych nieporozumień, aż wreszcie Kossuth ustąpił, a Görgey został dyktatorem. Wtedy jednak na pomoc Austryi przybyła armia rosyjska, która zmusiła Görgeya do poddania się pod Vilagosz, a następnie wydała go władzom austryackim. Na prośbę cesarza Mikołaja I, który był z pełnem uznaniem dla zdolności strategicznych węgierskiego dyktatora, Görgey został uwolniony z więzienia i zasądzony na przymusowy pobyt w Celowcu, gdzie zajmował się z upodobaniem chemią.

Równocześnie atoli znalazł się Görgey pod bardzo ciężkiem i bardzo bolesnem oskarżeniem zdrady kraju, z tego powodu, iż pod Vilagosz poddał się nieprzyjacielowi, choć stał na czele przeszło dwudziestu tysięcy wojska. Z odwagą i męstwem, jakie daje świadomość niewinności, walczył Görgey przeciw tym zarzutom, przez długie lata bezskutecznie, gdyż zła wola kalumniatorów piętnowała go stale mianem zdrajcy.

W r. 1884 grono wybitnych Węgrów orzekło



Szczególne »błogosławieństwo«: Cztery pary bliźniąt, dzieci pewnej węgierskiej pary wieśniaczej.

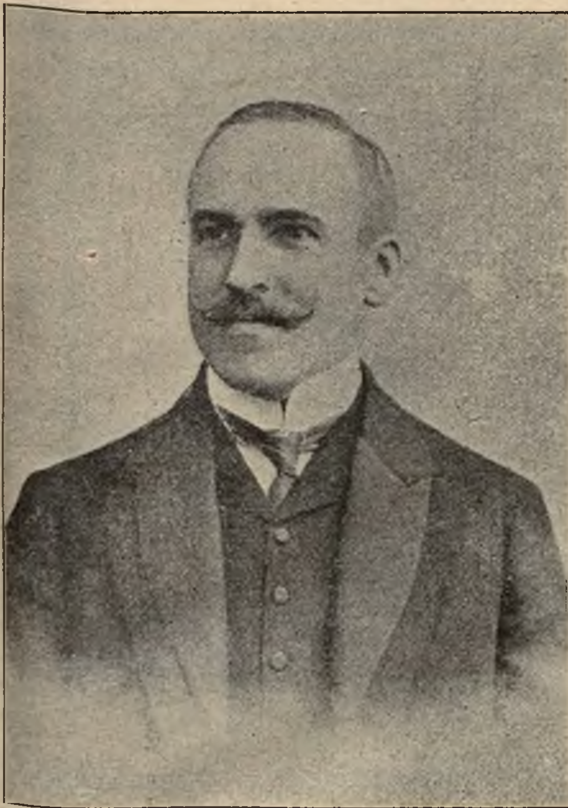


Tragiczny skon oficera: Zmarły samobójczą śmiercią kapitan 13 pp., Fryderyk Sachse Edler v. Rothenburg.



Zapomniany bohater: Artur Görgey.

jego niewinność, a ten sam wyrok wyda niewątpliwie i historya. To też spokój wrócił do duszy bohatera i pozwala mu wśród pracy i ciszy pędzić ostatnie lata żywota.



Nowi kierownicy Morawy i Śląska: Karol bar. Heinold, nowo mianowany namiestnik Morawy.

Tragiczny skon oficera.

Celnym wystrzałem z browninga, w skroń skierowanym, pozbawił się życia ubiegłego wtorku kapitan 13 pp. w Krakowie, Fryderyk Sachse, Edler von Rothenburg. Ciężka, nieuleczalna choroba sercowa, jako następstwo po influenzie, była przyczyną samobójstwa. Nieszczęśliwy, zamiast konać powolnie, wybrał śmierć szybką, niezawodną!

Kapitan Sachse, wiedeńczyk z urodzenia, jako młody kadet dostał się do Krakowa i całą swą, blisko 20 letnią służbę wojskową, odbył przy 13 pp. Odznaczał się niepospolitemi zaletami serca i charakteru, jako przełożony był sprawiedliwy i wyrozumiały, to też powszechnie go lubiano. Zmarły przez cały szereg lat fungował jako oficer instruktyjny w szkole jednorocznych, gdzie swem taktownem obejściem się, zjednywał sobie serca podwładnych. Mimo możności przeniesienia się do pułku niemieckiego, kapitan Sachse wolał zostać w Krakowie, tak był przywiązany do naszych starych murów, do naszej tradycyi i kultury. Językiem polskim władał biegle i zawsze się nim w stosunkach z osobami cywilnemi posługiwał. Prawdziwy, niekłamany żal szerokich kół naszej inteligencyi, z którą utrzymywał ścisłe, serdeczne stosunki, towarzyszy zmarłemu do grobu.



Ustąpienie burmistrza-hakatysty: Dr. Leonard Demel, b. burmistrz Cieszyna.

Szczególne „błogosławieństwo“.

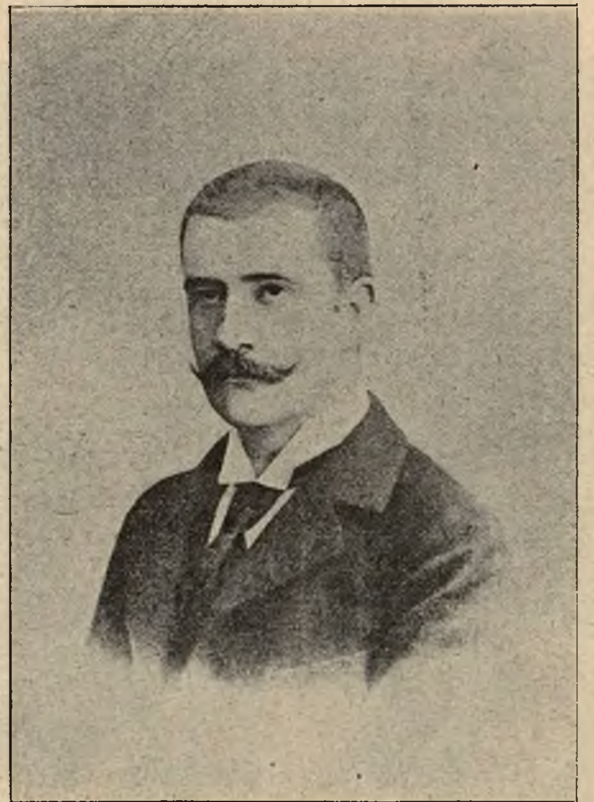
Niezwykłem „błogosławieństwem“ Bożem cieszy się pewna węgierska para wieśniacza, zamieszkała w miejscowości Kis-Kun-Felegyhaza. Błogosławieństwo to spływa na tę parę małżeńską w postaci bliźniąt, których posiadają już cztery pary, za każdym razem po jednym chłopcu i dziewczynce. Zdaje się, iż w rodzinie tej wyjątek od powszechnego prawa natury stał się prawem, powtarza się bowiem z dziwną regularnością. Zazwyczaj dzieci takie nie chowają się długo, słabo bowiem zbudowane, podlegają łatwo wszelkim chorobom i w bardzo młodym wieku umierają, w tej jednak rodzinie całe młode pokolenie chowa się zupełnie zdrowo i starsze dzieci otaczają opieką młodsze rodzeństwo.

Jeżeliby więcej takich rodzin znalazło się na Węgrzech, butni Madziarzy niepotrzebowaliby się lękać wyludnienia.

Nowi kierownicy Morawy i Śląska.

Dwa kraje koronne monarchii austryacko-węgierskiej, Morawa i Śląsk, otrzymały w ostatnich dniach nowych kierowników administracyi. Obydwa świeżo obsadzone stanowiska należą do najcięższych, do najtrudniejszych w państwie, ze względu na zacięte walki narodowościowe, wewnątrz obu krajów wrzące. Antagonizm czesko-niemiecki w Morawie, a czesko-niemiecko polski na Śląsku, wymaga od kierownika kraju nietylko zdolności fachowych, administracyjnych, ale i politycznych, wymaga wielkiego taktu i powagi.

Wedle ogólnej opinii zarówno nowy namiestnik Morawy, dr. Karol bar. Heinold, jak nowy prezydent kraju na Śląsku, Maksymilian hr. Coudenhove, odpowiedzą w pełni pokładanym nadziejom. Pierwszy z nich odbył już próbę ogniową, przez kilka lat bowiem pracował na stanowisku prezydenta kraju na Śląsku. Baron Heinold jest człowiekiem młodym, w pełni sił i zdolności, zaprawionym do trudnego urzędu wieloletnią praktyką



Nowi kierownicy Morawy i Śląska: Maksymilian hr. Coudenhove, nowo mianowany prezydent kraju na Śląsku.



Straszne zderzenie: Maszyny dwu pociągów pospiesznych, po zderzeniu się na linii północno-wschodniej kolei w Indyach, pod miastem Ludhiana.

w urzędach politycznych Morawy i Czech. Zna doskonale stosunki kraju, na którego czele został obecnie postawionym i włada biegle językiem czeskim.

Następca jego na Śląsku, Maksymilian hr. Coudenhove, brat obecnego namiestnika Czech, jest



Tragedya miłosna w Kołomyi: Rozalia Zarembianka i Stanisław Sara, którzy zginęli śmiercią samobójczą w Kołomyi.

także doświadczonym urzędnikiem. Karyerę rozpoczął w urzędach władzy politycznej Czech i Morawy, ostatnio zaś był radcą dworu przy trybunale administracyjnym w Wiedniu. Wszędzie był lubianym i cenionym, jako wzorowy urzędnik, pełen taktu i rozumnej dystynkcyi.

Tragedya miłosna w Kołomyi.

Niezwykle tragiczny wypadek zaszedł w ubiegłym tygodniu w Kołomyi, a ofiarą jego padło życie dwojga młodych istot. W objęcia śmierci popchnęła je nieszczęśliwa miłość, uczucie tak potężne, tak głębokie, że gdy połączenie się dozgonnym węzłem małżeńskim nie mogło przyjść do skutku, woleli rozstać się z życiem, niż żyć w wiecznej tęsknocie i rozłące.

On był subjektem handlowym i nazywał się Stanisław Sara, ona zaś była bogatem mieszczańskiem dzieckiem, a nazywała się Rozalia Zarembianka. Sara, młodzieniec 21 letni, przystojny, pochodził ze Lwowa, a do Kołomyi przybył dopiero przed kilku miesiącami i otrzymał tam posadę w jednym z większych sklepów korzennych. Zarembianka poznała go w tym właśnie sklepie, bo bywała tam częstym gościem. A poznawszy, pokochała całą siłą młodego serca; że zaś była ładną, świeżą dziewczyną, podobała się Sarze i zdobyła rychło jego wzajemność, równie gorącą. Postanowili więc pobrać się. Nie przeczuwali zapewne, że spełnieniu tego ich gorącego pragnienia stanie na przeszkodzie ojciec narzeczonej. On, bogaty mieszczanin, przedsiębiorca dorożkarski, właściciel realności i członek rady miejskiej, uważał za „mezalians“ związek swej córki z biednym subjektem handlowym. I kiedy Stanisław Sara zjawił się zeszłego tygodnia w jego domu, by prosić o rękę córki, Zaremba nietylko stanowczo odmówił, ale wskazał mu drzwi i wymówił dom. Temsamem jednak podpisał wyrok śmierci na swą ukochaną córkę i wzgardzonego przez się jej konkurenta.

Kiedy bowiem Stanisław przyniósł swej ukochanej smutną wiadomość o odmowie ojca, postanowili oboje wspólnie życie zakończyć. Tego samego dnia dali się odfotografować, następnie wynajęli pokój w jednym z miejscowych hotelów, i wysłali zawiadomienia do swoich rodzin o strasznym zamiarze. Po ukończeniu tych przygotowań, Sara strzelił do Zarembianki z rewolweru i tak ciężko ją zranił, iż umarła w kilkanaście godzin potem, nie odzyskawszy przytomności, potem zaś strzelił do siebie i padł trupem na miejscu.

Wieść o strasznej tragedyi miłosnej, wieść o śmierci dwojga młodych, kochających się, wywarła w całem mieście głębokie wrażenie, a pogrzeb ofiar odbył się przy udziale tysięcy mieszkańców Kołomyi.



Wywiad u rówieśnika Adama Mickiewicza: Jankiel Baumsztyk, 109 letni starzec.

Straszne zderzenie.

Jednocześnie prawie ze strasznem zderzeniem się trzech pociągów pod Medyolanem, o którem pisaliśmy niedawno, zaszedł podobny, lecz daleko straszniejszy w skutkach wypadek w Indyach pod miastem Ludhiana.

We Włoszech jeden pociąg najechał na końcowe wagony drugiego, a w powstałe stąd rumowisko uderzył następnie trzeci pociąg, w Indyach zaś z powodu nieuwagi zwrotniczego najechały na siebie dwa pospieszne pociągi, idące na jednym torze w przeciwnych kierunkach. Gdy zarząd stacyi spostrzegł swą pomyłkę, wysłano natychmiast w pogoń za jednym pociągiem lokomotywę z dwoma wagonami, by sygnałami gwizdkowymi zwrócić uwagę prowadzącego ten pociąg na grożące niebezpieczeństwo. Niestety jednak pościg ten okazał się spóźnionym, a wysłana lokomotywa przybyła na miejsce już po katastrofie. Oba pociągi najechały na siebie z tak straszną siłą, iż lokomotywy ich jakby szczepione z sobą buforami, wyrzuciły się w górę, tworząc jedną potężną piramidę z żelaza, o którą roztrzaskały się w drzazgi wagony pociągów. Nikt prawie z jadących nie wyszedł bez szwanku, dziesiątki podróżnych odniosło lżejsze lub cięższe rany, przedsiębiorstwo zaś kolejowe poniosło olbrzymią, milionową stratę, tak z powodu uszkodzenia toru i zniszczenia zupełnego dwóch lokomotyw oraz kilkunastu wagonów, jak z powodu odszkodowania, jakie rannym podróżnym będzie musiało wypłacić.

Skon zasłużonego Sokoła.

W szeregach „Sokoła“ żółkiewskiego powstał wyłom. Oto śmierć nieubłagana zabrała jednego z najbardziej zasłużonych około założenia i rozwoju towarzystwa w tem mieście, druha Alfonsa Borowskiego.



Skon zasłużonego Sokoła: Ś. p. Alfons Borowski.

Jako jeden z pierwszych prezesów gniazda przed laty dwunastu jeszcze rozwinął śp. Borowski niestrudzoną działalność celem wybudowania „Sokołowi“ własnego przybytku. W pracy na tem polu był niezmordowany, to też przyniosła ona plon upragniony i w przeciągu lat kilku na ofiarowanym przez gminę miasta Żółkwi placu budowlanym stanęła piękna, celowi odpowiadająca sokolnia. Gdy śp. Borowski w r. 1903 wskutek ubytku sił i zdrowia nie mógł już dalej stać na czele Sokoła żółkiewskiego, obdarzyli go druhowie miejscowi, spłacając dług wdzięczności, godnością członka honorowego.

Lecz i jako zwykły członek wydziału nadal pracował skutecznie dla dobra ukochanej idei sokolej, której całą duszą był oddany.

Pogrzeb śp. Alfonsa Borowskiego, zmarłego w tych dniach w 75 roku życia, był naprawdę manifestacyą i wyrazem szczerej sympatyi, jaką były prezes cieszył się w grodzie żółkiewskim. Całe miasto niemal pospieszyło, by oddać ostatnią cześć zacnemu druhowi.



Odznaczenie polskiego filologa: Prof. Bonawentura Graszyński.

NIEWINNIE POSĄDZONY.

Powieść według aktów sądowych. Tłómaczył Felicyan Dulski.

10 Ciąg dalszy.

Zaczął przechadzać się po pokoju, zły, rozdrażniony, aż wreszcie postanowił odpisać. Trudności nasunęło mu się niemało. Napisał jeden list i ten mu się wydał za szorstki, napisał drugi i ten był za mało chłodny; dopiero po wielu próbach udało mu się napisać taką odpowiedź, że był z niej zadowolny.

„Łaskawa Pani!

Ubolewam, że nie mogę być posłusznym wezwaniu. Zaręczyny moje z osobą, którą prawdziwie pokochałem i choroba mojego przyjaciela, nie pozwalają mi stąd wyjechać. Skoro pani zależy na tem, abym zapomniał o doznanej przykrości, wyznaję zupełnie szczerze, że nie mam do nikogo żadnej urazy, a zwłaszcza teraz, gdy się czuję bardzo szczęśliwym przy boku narzeczonej. Miło mi będzie przysłużyć się pani przy zdarzonej sposobności — czem tylko zdołam".

Gdy list wyprawił na pocztę, znowu go zaczął ogarniać niepokój. Zdawało mu się, że źle uczynił odpisując Ellinorze. „Czy mógłbym powiedzieć o tem Helenie, lub Dossenauowi? — zadawał sobie takie pytanie. I sam sobie odpowiadał, że ów list i jego odpowiedź powinny być tajemnicą. Tajemnica przed ukochaną narzeczoną, a więc nieszczerość, czyli rzecz niegodna uczciwego człowieka. Nie mógł się uspokoić, przewidywały mu się niedobre z tego następstwa.

XII.

Upływały prędko dni, tygodnie, miesiące, nadeszła zima śnieżna, mroźna. Dossenau odzyskał już siły zupełnie, dźwignął się z łóżka, ale chodzić jeszcze nie mógł, tylko wożono go po pokoju w krześle. Mimo, że go kalectwo krępowało, że było dotkliwe dla jego energii, ruchliwości, okazywał jeszcze większą pogodę umysłu, niż dawniej, a nawet wesół był, figlarny, jakby odmłodzony. Zwykle czytywał dużo, gdy był sam, niemal przez dzień cały. Natomiast wieczorami bawił się doskonale, bo schodzili się zawsze na pogadankę: Barlow z Heleną i Wolfgang.

Barlow zmienił się cokolwiek. Wprawdzie był spokojny, ale już nie taki rozmowny jak dawniej i smutny. Gdy się zbierali wszyscy u Dossenaua wieczorem, Barlow unikał rozmowy, usuwał się w kąt pokoju i tam zdala się przysłuchiwał, co inni mówili. Często gęsto cisnęły mu się łzy do oczu, niekiedy westchnął z głębi piersi, gdy spostrzegł, jak Dossenau syknął z bólu, gdy się w nogę uraził, gdy usłyszał, jak niekiedy Dossenau pół żartem, a pół serjo mówił o swojem kalectwie. Wrażliwa dusza tego człowieka odczuwała, że on, Barlow, większą wyrządził krzywdę swojemu dobroczyńcy, niż Dossenau jemu. Dossenau ściągnął na niego tylko podejrzenie o popełnienie zbrodni, ale życiu jego i zdrowiu nie zagroził. On chciał być mordercą swego dobroczyńcy, a stał się rabusiem jego zdrowia, przyczyną jego strasznego kalectwa. Wciąż o tem myślał, wciąż się nad tem zastanawiał, dlatego był taki smutny i rzewny i do rozmowy nie skory.

Helena, zajęta we dnie gospodarstwem i sprawami dobroczynnemi, wieczory tylko spędzała wraz z ojcem, w pokoju chorego. Były to dla niej chwile prawdziwie błogie, bo wtedy spotykała się z Wolfgangiem, bo widziała, że jej towarzystwo, jej rozmowa, sprawiają Dossenauowi prawdziwą przyjemność. Wolfganga kochała bardzo, z każdym dniem coraz bardziej. Ceniła w nim takt, powagę, ceniła to, że nie był płytkim, natrętnym adonisem; poznawała coraz dokładniej jego głęboką wiedzę i piękny charakter. Przy takim człowieku, w którym upatrywała ideał mężczyzny, marzyła o najszczęśliwszej przyszłości.

A i Barlow także bardzo polubił Wolfganga i dlatego ucieszył się prawdziwie, gdy mu się o rękę córki formalnie oświadczył, a było to zaraz na drugi dzień po owym wieczorze, gdy Dossenau na prędce zaręczyny urządził.

— Słuchajno stary — rzekł wówczas Dossenau do Barlowa — ja tu coś zrobiłem takiego, z czego może nie będziesz zadowolony. Nie gniewajże się na mnie i posłuchaj. Ty siedzisz w lesie i nie wiesz, co się tu dzieje. Nie masz czasu przypatrywać się, jak tu na siebie moi towarzysze spoglądają, ale ja próżniak, po całych dniach nic nie robię, tylko patrzę i słucham i oto dopatrzyłem się i dosłuchałem, że nasz doktor kocha twoją córkę, no a twoja córka jakoś o to się nie gniewa. Jakoś tak mi się wzięła nagle ochota, żem ich pobłogosławił, nie spytawszy ciebie. Nie gniewajże się stary. No a ty doktorze proś teraz ojca o rękę córki.

Barlow wyciągnął rękę ku Wolfgangowi, uścisnął go serdecznie i rzekł z rozrzewnieniem:

— Co mój pan i dobroczyńca robi, jest dla mnie święte. Majątku nie mam, to go córce nie dam; pana też nie pytam o majątek, ani o stanowisko, bo mi wystarcza pański charakter. Gdy się takich dwoje pobierze, jak pan i moja córka, to można być spokojnym, że zdołają być szczęśliwi, bo miłość, pracowitość i poprzestawanie na małem dają podstawę do szczęścia.

Cieszył się bardzo zaręczynami córki, ale mimo tego stronił od wieczornej rozmowy, siadywał w kącie i łzawem okiem na Dossenaua spoglądał.

Z każdym dniem wzrastała miłość Wolfganga dla Heleny, a z miłością łączyła się cześć coraz większa dla jej charakteru. Jej powaga, skromność, skrzętność i pracowitość, nie pospolita łagodność w obejściu obok energii, zdumiewały go prawdziwie i skłaniały do uwielbienia. Marzył jeno o tem, aby jak najprędzej zdobyć sobie stanowisko, któreby zapewniło spokojny byt dla obojga. Zabrał się do pracy. Całymi dniami robił studya, zbierał materyały do historycznej rozprawy, którą chciał utorować sobie drogę do katedry w uniwersytecie. Pracował z energią zdwojoną, pod wpływem miłości, a tylko wieczory spędzał w pokoju Dossenaua. Te wieczory były dlań odpoczynkiem, roskoszą i bodźcem do pracy, bo spędzał je przy boku tej ukochanej, która była dlań i treścią i celem życia.

Jakoś w środku zimy zaczął Dossenau dźwigać się z krzesła i przechadzać pomału, oparty na szczudłach. Radość to była ogromna dla wszystkich, a szczególnie dla Barlowa, który teraz nawet już i uśmiechać się zaczął. Pewnego razu lekarz zatrzymał się dłużej i odbywał konferencyę z chorym sam na sam, bo Dossenau kazał wszystkim wyjść z pokoju. Po tej konferencyi wyszedł lekarz, z wyrazem zadowolenia na twarzy i rzekł, uśmiechając się figlarnie:

— No idźcież teraz państwo na dalszą pogadankę z naszym chorym, bo z upragnieniem was oczekuje.

Weszli wszyscy troje do pokoju i zaczęła się zwykła rozmowa o tem i owem, a Dossenau uśmiechał się wesoło. W ciągu rozmowy o rzeczach obojętnych, odzywa się nagle do Barlowa:

— Zimno? co? Śnieg, mróz, wicher. Słuchaj stary! jeżelibyś ty miał ochotę pojechać ze mną w świat, to jabym gdzieś w cieplejszych krajach ogrzał połamane kości.

Wszyscy ze zdumieniem spojrzeli na mówiącego, myśląc, że albo w gorączce mówi, albo żartuje.

— Cóżeście tak oczy wytrzeszczyli na mnie? A widzicie, jaką wam sprawiłem niespodziankę. Co? Dlatego ja to bez was odbył konferencyę z lekarzem.

— Wielmożny panie! i to ma być na prawdę? Ja mam jechać? a cóż się tu z lasem stanie? a co ja bym tam robił w cudzych krajach? Anibym ja się z kim rozmówił, ani w czem poradził w podróży, boć przecie nie podróżowałem nigdzie.

— Ee, widzę stary, że nie masz ochoty. To zostańże ty sobie w lesie, a za to daj mi Helenę, niech ona się mną opiekuje.

Helena rzuciła prędko okiem na Wolfganga, Wolfgang zmarszczył brwi. Spostrzegł to Dossenau i uśmiechnął się figlarnie, a potem mówił dalej:

— Gniewajcie się na lekarza, bo to on mnie do cieplych krajów wyprawia. Każe mi jechać do Nizzy. Tam bardzo pięknie, powinnabyś się cieszyć Heleno, że taki piękny zakątek świata zobaczysz.

— Byłabym najchętniej posłuszną życzeniu pańskiemu, ale...

— Ale?... jest ale. Jakież to „ale" cię wstrzymuje?

— Obowiązki dla ojca, którego muszę pielęgnować.

To rzekłszy spuściła oczy.

Barlow popatrzył na córkę gniewnie, niemal z oburzeniem, zerwał się prędko z krzesła i rzekł opryskliwie:

— Pleciesz głupstwa! Nie masz żadnych świętszych obowiązków, nad obowiązek wdzięczności dla naszego wielmożnego pana. On cię wykształcił, o ciebie się troszczył bardziej niż ojciec. Jeżeli powiada, że masz jechać, to tak być musi. Ja tu sobie przecież dam radę. Nie jestem dzieckiem przy piersi, ani kaleką, ani niedołęgą. Wydać sobie ze spiżarni na obiad potrafię. Przecież mi się tu nic złego nie stanie przez parę miesięcy. Że też to baby zawsze coś głupiego powiedzą.

— A nie krzyczże tak stary na biedną dziewczynę, ona to przecież z dobrego serca powiedziała. Dziękuję ci, że się zgadzasz, teraz jeszcze muszę poprosić o pozwolenie narzeczonego.

— Nie mogę wcale sprzeciwiać się woli ojca — odpowiedział Wolfgang bardzo uprzejmie, ale kwaśno.

— Nie sprzeciwiasz się woli ojca, ale w duszy przeklinasz starego samoluba. Nie przeklinaj, nie. Tak wielkiej ofiary nie żądałbym od ciebie. Pojedziemy sobie we troje, bo przecież Helena nie dałaby sobie rady ze starym kaleką. A zresztą ze mnie wielki samolub i chcę użyć prawdziwej przyjemności, a większej dla mnie nie będzie, jak spoglądać na wasze rozpromienione twarze, na waszą miłość.

Oczywiście, że Wolfgang nie sprzeciwiał się wcale, bo nie chciał wyrządzać przykrości Dossenauowi, a przedewszystkiem, że go serce za Heleną ciągnęło. Ale bądźcobądź było mu to nie na rękę, bo go odrywało od pracy i opóźniało osiągnięcie celu, do którego zdążał.

We dwa dni potem zaprosił Dossenau Wolfganga do siebie i z właściwą sobie serdecznością zaproponował mu, czyby też przed wyjazdem do Włoch nie mógł urządzić wesela.

— Bo to widzisz chłopcze, będzie wam jakoś lepiej i swobodniej, gdy jako mąż i żona pojedziecie ze mną. Wzdychacie do siebie, a takie wzdychanie dręczy bez potrzeby. Po co czekać? Kochacie się, to się i pobierajcie, a im prędzej, tem lepiej.

Wolfgang zmięszał się cokolwiek tą propozycyą, bo go zaskoczyła niespodzianie i nie zaraz zdobył się na odpowiedź.

— Nad czem się tak zamyśliłeś? Może masz skrupuły pieniężne? To drobnostka i o tem niema co mówić. Helena jest moją wychowanką, dla jej ojca mam obowiązki, więc nic dziwnego, że jej przeznaczyłem posag. Na razie będziesz mógł nim się posługiwać, a potem kiedyś, gdy otrzymasz jakieś stanowisko, to żonie zwrócisz.

Wolfgang miał już czas zastanowić się nad tem, co zrobić, więc odrzekł spokojnie i stanowczo:

— Z głębi serca jestem panu wdzięczny za tę serdeczność, najgoręcej pragnę poślubić pannę Helenę jak najprędzej, ale nie uczynię tego dopóty, dopóki stanowiska nie zdobędę. Jestto niegodne mężczyzny oglądać się na majątek żony, gdy sam samemu nic nie posiada. Kocham Helenę i uwielbiam, a pragnę w zamian nietylko jej miłości, ale także i szacunku. Czyżbym zasłużył na niego, gdybym sięgnął teraz po jej rękę, nie będąc jeszcze niczem, zmuszony korzystać z pańskiej wspaniałomyślności. Gdy wrócimy z Włoch, dokończę mojej pracy i mam nadzieję, że na posadę nie będę długo czekał. Wtedy poprosimy o błogosławieństwo pańskie do ślubu.

Dossenau pokiwał głową, upierał się przy swojem, usiłował przekonać Wolfganga, że skrupuły jego nie potrzebne, ale to wszystko na nic się nie zdało, Wolfgang trwał stale przy swem postanowieniu i wreszcie Dossenau ustąpił.

— Przesadzasz mój kochany, przesadzasz, ale szanuję w tobie męskie postanowienie. Dzielny z ciebie chłopiec. Ha! Dziej się wola Boża.

Przygotowania do podróży trwały dni kilkanaście, aż wreszcie zebrano się do drogi. Twarda zima towarzyszyła im aż do Medyolanu, co Dossenaua ogromnie gniewało, bo spodziewał się ciepła, skoro tylko Alpy przejadą. Dopiero gdy się zbliżali ku Rivierze, zaczęło ich witać ciepło, południowe powietrze.

W Nizzy znalazła się wspaniała willa, w położeniu prawdziwie uroczem i w niej zamieszkali. Urok morza, wspaniała piękność przyrody wywierały wrażenie pokrzepiające na chorego, a roztkliwiały kochającą parę. Dossenau zmęczony podróżą, przeważnie leżąc spoczywał, a młodych wyganiał do parku.

— Idźcie pomiędzy róże i kwiaty, tam wam gruchać trzeba, a nie kwasić się tu ze starym nudziarzem.

Wychodzili też często szczęśliwi, rozmarzeni, ale nie opuszczali swojego zacnego przyjaciela i sprawiało im to największą przyjemność, gdy go zdołali rozweselić, gdy przy nich zapomniał o cierpieniach i kalectwie.

XIII.

Tak upłynęły ze dwa tygodnie. Dossenau czuł się z każdym dniem silniejszym i zdrowszym, zaczął już władzę w nogach odzyskiwać i przechadzał się już teraz, tylko na jednem szczudle oparty. Znudzony i znużony tylomiesięczną niemocą, chciał to wszystko sobie wynagrodzić i dlatego nie było dnia, żeby nie urządził jakiejś wycieczki. Zdawało się, że nie może usiedzieć na jednem miejscu, że go jednostajność męczy, więc zwiedzali codzień inną miejscowość. Oczywiście, że pieszo na te wycieczki wybierać się nie mógł, więc wyjeżdżali powozem i tem się też zadawalniał.

Pewnego dnia powiedział, że pojadą do Monte-Carlo i do twierdzy Monaco. Helena była jakaś niezdrowa i wymówiła się od udziału w wycieczce; Wolfgang nie miał też wielkiej ochoty, bo czuł odrazę do szulerki w Monte Carlo, gdzie tyle fortun ludzkich zmarniało, gdzie tyle nieszczęść zaciężyło na życiu ludzkiem. Starał się odwieść Dossenaua od tej wycieczki, ale stary upierał się tak bardzo, że wreszcie pojechać z nim musiał. Żegnając się z Heleną, był Wolfgang czegoś bardzo smutny i nie umiał z tego zdać sobie sprawy. Bywa tak często, że nas ostrzegają przeczucia przed grożącem niebezpieczeństwem. Wolfgang miał przeczucie czegoś niedobrego, a przynajmniej niemiłego; tłumił je ile mógł, ale stłumić nie zdołał, więc odezwał się z całą szczerością:

— Nie wiem dlaczego mam jakąś niechęć do tej wycieczki. Coś mi szepce w duszy, że byłoby lepiej, gdybyśmy dziś nie jechali.

— Ee, co tam przeczucia. Ot poprostu nie chce ci się odjechać od Heleny. Co do niej, to nawet lepiej, że nie pojechała, bo młode dziewczę a takie uczciwe, tak wychowane, doznałoby tam nieprzyjemnych wrażeń. Jej się tu nic nie stanie, a w przeczucia niema co wierzyć, to babska rzecz.

— Ale jeśli wolno spytać, to pocóż my właściwie jedziemy do tej jaskini, która jest hańbą Europy.

Dossenau był w duszy zadowolony z tych słów Wolfganga, ale udał urażonego i odpowiedział:

— Cóż to na księdza się sposobisz, a nie do stanu małżeńskiego, że mi tu kazanie prawisz? Może myślisz, że ja tam stanę przy rulecie i przegram wszystkie pieniądze, a was tu w cudzym kraju na pastwę nędzy zostawię? Nie bój się chłopcze, jeszcze nam na tyle zostanie, byśmy mieli za co do domu wrócić. Ale dlatego, żebyś był spokojny, upoważniam cię, byś mię chwycił za kark i odtrącił od rulety, gdybym się do gry zapalił. Jakąś tam niewielką kwotę przeznaczę na to, żeby się zabawić, ale majątku nie nadwerężę.

I zaczął się śmiać serdecznie, a Wolfgang już się niczemu nie sprzeciwiał, widząc, że ta wycieczka do jaskini gry będzie dla Dossenaua ożywiającą rozrywką. Zaczął się też uspakajać, zwłaszcza że cudna okolica zachwycała go i smutne myśli rozproszyła.

Nie dojechali pod samo kasyno na górę, tylko wysiedli z powozu w pobliżu dworca i szli zwolna po szerokich marmurowych schodach, spoglądając na złoconą kopułę i smukłe wieże tego osławionego gmachu.

— Co za sprzeczność — zawołał Wolfgang. Takie wspaniałe, urocze miejsce, że mogłoby rajem być dla ludzi, pragnących ciszy, spokoju i tych podniosłych wrażeń, jakie wspaniałość przyrody na człowieka wywiera, a jest niestety trucizną sumienia i honoru ludzkiego.

— Prawdę mówisz, nie przeczę, ale człowiek powinien nietylko szukać tego, co dobre, ale też przypatrywać się złemu. Takie przypatrywanie się złemu, mój drogi, bywa niekiedy dźwignią cnoty i uczciwości. A dlaczego? Łatwa odpowiedź, bo jeżeli złe znamy tylko z teoryi i z opowiadania nie obudzi w nas takiego wstrętu, jak wtedy, gdy' mu się z bliska przypatrzymy.

Nareszcie znaleźli się w sali gry. Roiło się od ludzi młodych i starszych. Kto tu wejdzie ze spokojnym umysłem, nie po to, aby polować na pieniądze bez pracy, ale po to, żeby przypatrzyć się rozkiełzaniu namiętności ludzkich, aby czynić spostrzeżenia i studya nad naturą człowieka, ten z pewnością dozna wrażeń najboleśniejszych.

Doznawał ich też i Wolfgang i dlatego zwrócił się do Dossenaua, chcąc go prosić, aby wyszli stąd czemprędzej. W tem spostrzega, że ktoś prędko zbliża się do Dossenaua. Przypatruje się i poznaje hr. de Rivallier.

— Jakież miłe spotkanie! — zawołał Francuz — pan Dossenau, jeżeli się nie mylę?

Hrabia de Rivallier był wykwintnie ubrany, uśmiechnięty, pełen elegancyi i ożywienia. Dossenau przywitał się z hrabią bardzo chłodno i rzucił okiem na Wolfganga, zapewne w obawie, aby nie wybuchło jakieś starcie. Ale Wolfgang miał wyraz twarzy spokojny, chociaż surowy. Wprawdzie zakipiała w nim krew, na widok rywala i na wspomnienie tego, co się stało w zimowym ogrodzie, ale natychmiast się opanował i z lekceważącą obojętnością na hrabiego spoglądał.



Co za szczęśliwy przypadek, że mam przyjemność spotkać tu pana doktora.

Rivallier spostrzegł Wolfganga, przystąpił do niego z uprzedzającą grzecznością i odezwał się ze swobodą salonowca:

— Co za szczęśliwy przypadek, że mam przyjemność spotkać tu pana doktora. Chciałem panu złożyć wizytę w zamku Walramsegg, aby wyjaśnić nieporozumienie, którego obydwaj padliśmy ofiarą, ale ze smutkiem dowiedziałem się, że pan doktor już wyjechał. Pochlebiam sobie, że pan doktor mi pozwoli przeprosić się jeszcze na tem miejscu.

— Zapomniałem już o tem zupełnie — odpowiedział Wolfgang — mimo tego z przyjemnością usłyszałem pańskie wyjaśnienie.

Podali sobie ręce, a hrabia nawiązał na nowo rozmowę z Dossenauem.

— Zapewne przebywacie panowie gdzieś w pobliżu, aby spędzić zimę w tym uroczym zakątku. Nizza jest prawdziwie zachwycająca.

— Pan także w Nizzy mieszka? — zapytał Dossenau.

Hrabia zakłopotał się cokolwiek i odpowiedział jakby od niechcenia:

— Co do mnie, to pragnąłem tego, abyśmy tam mieszkali, ale lekarze osądzili, że moja żona potrzebuje spokoju, a Nizza jest zanadto hałaśliwą, ożywioną, za wiele w niej życia towarzyskiego. Tu u podnóża góry, w Condamine, wyszukaliśmy mały, milutki domek. Wprawdzie tam cokolwiek niewygodnie, cokolwiek ciasno, ale dla zdrowia mojej żony trzeba się było tem zadowolnić.

— Przepraszam pana za natrętne pytanie. Wspomniał pan o żonie, a ja nawet nie wiedziałem o tem, że pan się ożenił. W moim zakątku leśnym zagrzebany, nic zgoła nie wiem, co się dzieje na wielkim świecie.

Rivallier uśmiechnął się z przymusem i widać było, że niechętnie o tem mówi.

— Prawdziwie ubolewam — rzekł Rivallier — przejmie—żeśmy nie posłali zawiadomienia. Wszystko się to stało cośkolwiek prędko, może za prędko. Ślub nasz odbył się przed kilkoma miesiącami, w najściślejszem kole rodzinnem, zupełnie cicho.

— Państwo zapewne zamieszkacie na stałe w zamku Walramsegg? — zapytał Dossenau.

— Nie panie. Walramsegg sprzedane. Pozostaniemy tu jakiś czas na południu, a potem pojedziemy do Francyi. Tu w Condamine żyjemy zupełnie w odosobnieniu, zamknięci dla siebie; gdyby nie to, moja żona cieszyłaby się bardzo, gdyby zobaczyła swoich dawnych znajomych.

Te ostatnie słowa powiedział Rivallier, zwróciwszy się do Wolfganga. Dossenau spoglądał dość podejrzliwie, myśląc, że na twarzy Wolfganga spostrzeże jakieś wzruszenie, na wiadomość, że Ellinor wyszła zamąż i że jest w pobliżu. Ale Wolfgang zupełnie zimno i obojętnie wysłuchał i odezwał się też jakby od niechcenia:

— I my również zamknęliśmy się dla samych siebie. Pan Dossenau jest rekonwalescentem i pragnie spokoju, a moja narzeczona i ja jesteśmy zupełnie zadowoleni, a nawet szczęśliwi, poprzestając na tem, że przebywamy w towarzystwie pana Dossenaua.

Rivallier zrozumiał dobrze tę odprawę, jaką mu się Wolfgang odwzajemnił, ale nie okazywał najmniejszej urazy, tylko odpowiedział z jak największą uprzejmością, w której ukrył niemało ironii.

— Wypadek zrządził, że sąsiadujemy ze sobą, więc prawdopodobnie narzeczona pańska i moja żona kiedyś przypadkiem spotkać się mogą. Pozostawmy to więc przypadkowi, a tymczasem proszę przyjąć moje szczere życzenia. Spostrzegam panie doktorze, że nasze charaktery są cokolwiek do siebie podobne, bo obaj gotowiśmy do bardzo szybkich postanowień w sprawach decydujących o naszem życiu.

Ta ironia była tak grzeczna, że nie mogła była urazić Wolfganga, więc też nie zbierał się na odpowiedź, a Rivallier zwrócił się teraz do Dossenaua.

— A pan, panie baronie, poprzestanie tylko na nudnej roli widza w tej sali? Poeta niemiecki powiada, że nie można bezkarnie krążyć pod palmami; mnie się zdaje, żeby to najlepiej zastosować można do Monte Carlo. Zapewne kilka setek franków poświęci pan temu molochowi?

Wolfgang doznał nader przykrego uczucia na widok, jak Dossenau banknot na kilkaset franków rzucił do gry. Kilka sekund milczącego oczekiwania i krupier zgarnął pieniądze.

— Przegrał pan, baronie. Niech pan stawia na czerwone, na moją odpowiedzialność baronie. Czerwona musi wygrać.

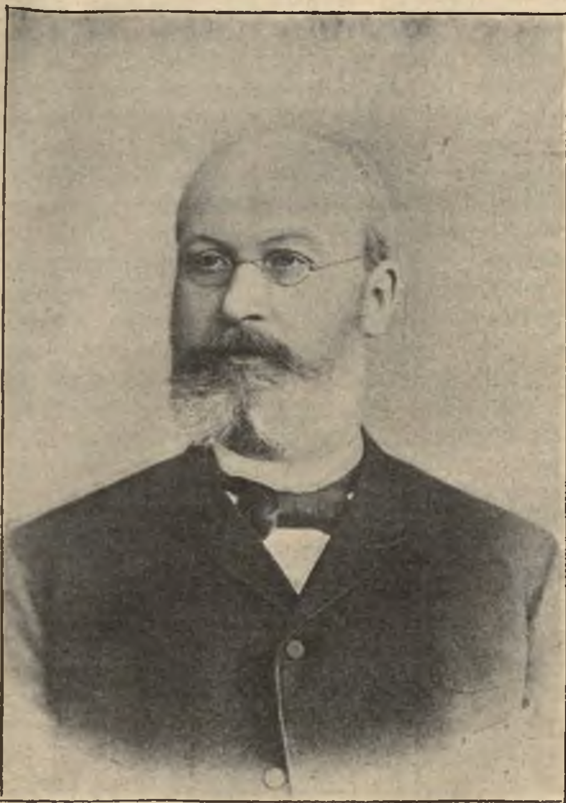
Dossenau rzucił banknot tysiącfrankowy, kula potoczyła się istotnie na czerwone i krupier wypłacił bardzo znaczną wygranę, ale Dossenau nie dotknął pieniędzy.

— Wygrana, należy się panu mój hrabio — rzekł Dossenau chłodno. Grałem w pańskiem imieniu i na pańską odpowiedzialność.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Nowy minister oświaty w Rosyi.

W łonie gabinetu ministeryalnego w Petersburgu zachodzą co pewien czas zmiany zasadnicze, świadczące, iż premier rosyjski pod naciskiem



Nowy minister Rosyi: N. A. Schwarz, nowomianowany minister oświaty.

sfer wyższych coraz bardziej poddaje się żądaniom prawicy Dumy. Ostatnia zmiana taka nastąpiła w kierownictwie ministerstwa oświaty, przez uwolnienie od obowiązków ministra Kaufmana i jego pomocnika Gerasimowa, podejrzanych o liberalne skłonności, a mianowanie na to stanowisko senatora Schwarza.

Radca tajny Schwarz po ukończeniu wydziału historyczno-filologicznego na uniwersytecie moskiewskim, wykładał przez pewien czas języki starożytne w średnich zakładach naukowych, następnie został profesorem języka greckiego i sztuki starożytnej w uniwersytecie. Jako kurator okręgu naukowego ryskiego okazał wybitne zdolności administracyjne i w tym samym charakterze przeszedł wkrótce do Warszawy, a po trzech latach do Moskwy.

Obecną nominacyę zawdzięczać może minister Schwarz tylko sprężystej działalności, jaką okazał na poprzednich swych stanowiskach.

Krakowscy szachiści.

Krakowski klub szachistów obchodzi w roku bieżącym jubileusz piętnastolecia swego istnienia. Założony przez grono amatorów gry w szachy 1893 r., rozwijał się pięknie i pomyślnie, skupiając wśród swych członków najlepszych szachistów krakowskich. Dziś liczy klub 56 członków. Zbierają się oni codziennie w godzinach wieczornych w lokalu klubu w kawiarni p. Kijaka w Rynku, witając w swem gronie chętnie nietylko członków, ale i gości, zwłaszcza przyjezdnych. Klub posiada też swoją bibliotekę dzieł fachowych, traktujących o grze w szachy.

Z powodu jubileuszu, urządził klub turniej szachistów, do którego stanęło 18 członków. Zwycięscą został p. Oskar Świda, słuch. agronomii na uniwersytecie Jagiellońskim. Prócz pięknej nagrody pamiątkowej, otrzymał on tytuł mistrza. Ogółem rozdał klub 14 nagród, oraz medale pamiątkowe. Uroczyste zebranie towarzyskie i wręczenie nagród odbyło się w ubiegły poniedziałek, w sali hotelu Saskiego. Zamieszczone w dzisiejszym numerze zdjęcie fotograficzne, przedstawia zebranie członków. Za stołem, na którym umieszczono nagrody, siedzą członkowie prezydyum i założyciele klubu. Prezes p. Wiewiorowski wręcza zwycięscy p. Świdzie nagrodę.

Echo zabójstwa inżyniera Iwanowa.

Wydział karny okręgowego sądu warszawskiego rozpatrywał w ubiegłym tygodniu sprawę Grzegorza Kiłaczyckiego o udział w zabójstwie naczelnika kolei nadwiślańskich, inżyniera Dymitra Iwanowa.

Jak wiadomo — dokonanym został 24 lutego 1906 w południe przy ulicy Brackiej w Warszawie zamach na życie inżyniera Iwanowa, w chwili gdy z synem szedł do zarządu kolei. Ugodzony kulą rewolwerową w głowę, padł inżynier Iwanow na miejscu trupem. Śledztwo w tej sprawie przez policyę przeprowadzone, wskazało jako sprawców zamachu członków komitetu wykonawczego polskiej partyi socyalistycznej „Proletaryat“, Kiłaczyckiego, Jurgielewicza i nieznanego z nazwiska „towarzysza Krzysztofa“. Wszystkim im udało się opuścić granice cesarstwa rosyjskiego. Kiłaczycki udał się do Szwajcaryi, tamtejsze władze jednak wydały go rządowi rosyjskiemu z zastrzeżeniem, że nie będzie on sądzony na zasadzie praw o stanie wojennym, lecz przez zwykły sąd, za przestępstwo ogólno-kryminalne.



Echo zabójstwa inżyniera Iwanowa: Grzegorz Kiłaczycki, uczestnik zamachu. Zdjęcie dokonane w X. pawilonie cytadeli warszawskiej.



Aparatem red. W. Lis

Krakowscy szachiści: Zebranie towarzyskie członków krakowskiego klubu szachistów, połączone z wręczeniem nagród zwycięscom w turnieju.

Grzegorz Kiłaczycki, młodzieniec 20-letni, ostatnio student uniwersytetu w Zurychu, pochodzi z Kozaków w gubernii czernihowskiej i jest Rosyaninem. Badany w śledztwie pierwiastkowem przyznał się do udziału w zabójstwie Iwanowa, później jednak wszystkie zeznania odwołał. Na rozprawie zaś do winy znowu się przyznał, poczem szeroko wywodził, jakimi motywami partya się kierowała, wydając wyrok śmierci na inżyniera Iwanowa.

Po przeprowadzeniu rozprawy i przemówieniu obrońcy, adwokata przysięgłego Papieskiego, sąd skazał Kiłaczyckiego na 6 lat katorgi.



Przed kilku dniami wziąłem do ręki poranny „Czas“ krakowski i rzuciwszy nań okiem, ucieszyłem się niezmiernie. Wyczytałem wielkiemi literami wydrukowany tytuł artykułu wstępnego: „Przyznanie się do winy“. Zważywszy, że „Czas“ tylko wyjątkowo, w nadzwyczajnych wypadkach, umieszcza w porannym numerze artykuły wstępne, że wreszcie ów naczelny artykuł „Przyznanie się do winy“ został wydrukowany tak, jak się drukuje nadzwyczaj ważne artykuły, to jest rozstawionymi wierszami (technicznie to się nazywa: na interlinie), byłem przekonany, że conajmniej Bülow cofnął projekt ustawy o wywłaszczeniu, lub że może w Petersburgu uznano za błąd zamknięcie „Macierzy szkolnej“ w Królestwie. Jakiegoż doznałem rozczarowania, kiedym w tym artykule wyczytał, że p. Froń przyznał się do popełnionej z p. Lichotą kradzieży.

A jednak pomimo całej śmieszności, ten wstępny „rozinterliniowany“ artykuł „Czasu“ maluje dokładnie, czem się Kraków w ostatnim tygodniu zajmował. Zeszła na drugi plan Portugalia, zapomniano o bojkocie towarów pruskich, zmalał zapał dla „Straży Polskiej“, ba! przerwane zostały wszystkie prace przedwyborcze, „Czas“ nie rzucił ani jednej bomby papierowej na prezydenta, „Nowa Reforma“ nie napisała ani jednego dytyramba na cześć „nawróconych“, posiedzenie Rady miejskiej odbyło się w rozczulającym spokoju — myśli wszystkich stronnictw, wszystkich mężów i białogłów naszego grodu zwrócone były w kierunku pytania: czy się Froń przyzna, czy nie przyzna? I — evoe! — przyznał się. Spadł ciężar z serca 106 tysięcy krakowian i krakowianek (licząc z załogą wojskową) — widmo bandytów z Królestwa znikło jak mara senna. Sama aura przyjęła tę wiadomość z radością i zaczęła z uciechy wyprawiać szalone harce: sypała śniegiem i deszczem, darzyła nas błyskawicami i grzmotami, rozpuściła wszystkie wiatry, pędziła na oślep tumany rozbitego na pył, na puder śniegu...

W tem miejscu przynoszą mi wieczorne gazety, a z nich widzę, że aura dobrodziejka obeszła się z Krakowem jeszcze nadzwyczaj delikatnie, bo we wschodniej Galicyi burze śnieżne zasypały całe wsie i pociągi, przerwały komunikacyę, odcięły miasta. A u nas, dzięki Bogu, nie było ani na chwilę przerwy między Wentzlem a Hawełką, między redakcyą „Nowej Reformy“ a biurem prezydenta miasta, między Kazimierzem a Unią demokratyczną. Więc przestaję się użalać nad figlami przyrody, a przechodzę do... siedmiu grzechów głównych.

Według p. Czarnowskiego, autora broszury pod tym tytułem, wydanej świeżo drukiem W. L. Anczyca w Krakowie, owymi siedmioma grzechami są: bezmyślne strejkowanie, NDekowanie, PDekowanie, SDekowanie, ugodowanie, bundowanie i Dumochodzenie. Streścić dokładnie poglądów szanownego autora nie jestem w możności — broszura jego należy do tych głębokich płodów ducha ludzkiego, których się nie da ująć w ściślejsze ramy bez szkody dla całości. Ale, aby zachęcić czytelników do jej przeczytania, przytoczę parę oderwanych ustępów. Pan C. napisał, krótko mówiąc, księgę praw dla narodu polskiego. W dziale prawa karnego żąda, by a) każdy stwierdzony oszczerca był stawiany po trzy dni w każdej miejscowości, w której trzy miesiące przemieszkiwał, pod pręgierz i o każdej 12-tej godzinie południa przez kata danej miejscowości był trzy razy policzkowany; b) by każdy rozmyślny zabójca był wypalonym znakiem na czole i prawym policzku piętnowany i banitowany; c) by każdy zdrajca narodu był karany jak zabójca z tym dodatkiem, że jeszcze lewy policzek ma mieć stemplowany, a uszy „z góry i dołu przycięte“. Przestępstwa wojskowe, związane z powinnością (nieposłuszeństwo, dezercya), „winny być karane sądem wojennym, zaczynając od odwachu, a kończąc na banicyi z cechowaniem wypalanem na prawej dłoni“. Kwestyę agrarną rozstrzyga p. Cz. przez podział gruntów na 10 morgowe gospodarstwa — „każdy posiadacz takiego działu w piątem pokoleniu otrzymuje dziedziczny tytuł szlachetnego Polaka“. Autor wszystkie te kwestye, a zarazem ekonomiczną, finansową, kwestyę ruską, litewską, sprawę wychowania, filantropii, przemysłu, pośrednictwa pracy, kościoła, programu szkół, wynalazków, „fundaszu ofiarnego“, organizacyi wyborczej itd. rozstrzyga na czterech kartkach swej broszury. Podaje na nich i zarys ustroju państwowego, na czele którego ma stać trzech najwyższych zarządców, 33 ministrów i Rada milionów. Następnie idą uwagi i wrażenia spisane wierszem. Na szczególną uwagę zasługuje opis 3 maja w Krakowie, w którym między innemi czytamy:

I różnych naszych szkół okazy
W defili ojca szły i brata,
Lecz jakie będą ich obrazy,
Gdy prawda zagra w tra ta ta ta?

Sądzę, że dość będzie przytoczeń, aby czytelnicy na gwałt postarali się o „Siedm grzechów głównych“ i w dniach nadchodzącego postu, posypawszy głowy popiołem, poświęcili długie godziny rozmyślaniu nad nimi.

Tymczasem może nie będzie obojętną dla nich wiadomość, że małżeństwo zamordowanego króla portugalskiego z córką hrabiego Paryża skojarzył Polak, p. A. Władysław Wołowski. Opowiada on o tem szczegółowo w „Kuryerze Warszawskim“. A było to tak. Ś. p. Tadeusz Oksza Orzechowski potrzebował na kable podmorskie koncesyi rządu portugalskiego. W interesie tym bawił w Lizbonie Bronisław Wołowski i dowiedział się, że powzięto myśl ożenienia następcy tronu (późniejszego króla Karola). Orzechowski „zachwycił się“ tą wiadomością i dalejże szukać w *Almanach de Gotha* kandydatki na tron portugalski, bo biedni Portugalczycy sami sobie poradzić nie mogli. Ale była trudność: jedne księżniczki były za młode, drugie za stare. Na szczęście autor artykułu, który żył „w zażyłej przyjaźni“ z prezydentem Grevym i miał też dużo innych „przyjaciół“ wśród „dygnitarzy politycznych“, przypomniał sobie córkę hr. Paryża i „nieśmiało wypowiedział jej imię“. Orzechowski po raz drugi „był zachwycony“. „Szczęśliwa myśl! — zawołał — panna ładna i posażna...“ Więc w te pędy pobiegł do ks. Władysława Czartoryskiego, który nazwał projekt „bardzo doniosłym“ i podjął się misyi swatania. Dalsze szczegóły już obojętne — dość, że swaty się udały i dzięki p. A. Władysławowi Wołowskiemu zasiadła urocza księżniczka Amalia na tronie portugalskim. Bardzo ładna bajeczka dla dorosłych dzieci. Kto w nią uwierzy, zbawion będzie, a przynajmniej poczuje się do wdzięczności dla „Kuryera Warszawskiego“ za umieszczenie tej humoreski. Na ciężkie czasy dobrze, jeżeli choć czasami uśmiać się można.

Chcieliby się może pośmiać berlińscy i wogóle pruscy fabrykańci fortepianów, ale im teraz nie do śmiechu. Ciągnęli oni liczne zyski z Królestwa i naraz zamknięto przed nimi kieszenie. I to gruntownie, nie na żarty, dzięki patryotyzmowi warszawskich muzyków i nauczycieli gry na fortepianie. „Łącząc się z prądem ogólnym (ogłaszają oni) postanowiliśmy w zakresie naszej działalności wyrzec się grywania na foretpianach niemieckich i popierania ich w jakikolwiek sposób, starając się przedewszystkiem o rozpowszechnianie instrumentów krajowych, a w razie potrzeby posiłkować się wyrobami innych, przyjaźnie dla nas usposobionych krajów“. Odezwę, z której wyjątek przytaczam, podpisali nie lada jacy panowie. Oto kilka nazwisk: A. Michałowski, B. Domaniewski, Al. Różycki, M. Szurzyński, Zygmunt Noskowski, M. Hertz, A. Sygietyński itd. — razem 24 kompozytorów, znakomitych pianistów i wybitnych nauczycieli. To rozumiem — to jest porządne posunięcie na szachownicy bojkotu, to jest taki szach królowi, z którego bez dotkliwej straty wycofać się niepodobna. A co na to powiadają nasi krakowscy i lwowscy fortepianiści? Czy nie sądzą, że należałoby iść za przykładem Warszawy?

Ale u nas się te rzeczy nieco inaczej traktuje. Wszem wobec np. wiadomo, że w tinglach występują przeważnie „artyści“ niemieccy. Gdyby nawet i tak nie było, toć przecie szanujące się dziennikarstwo nie powinno popierać tego rodzaju „zabaw publicznych“—cóż dopiero, jeżeli program tych przedstawień wypełniają niemieccy klowni, gimnastycy, tinglówki. A jednak zajrzyjcie do niektórych pism lwowskich, a znajdziecie w nich codziennie reklamy dla Colosseum i to w części redakcyjnej. Prawda, że są one oddzielone niby od artykułów redakcyjnych jakąś tam kreską, ale znajdują się w środku treści dziennika, więc kto się domyśli, że to płatne ogłoszenie? „Przegląd“ lwowski nawet sobie tego trudu nie zadaje. On wprost w rubryce, poświęconej wzmiankom o sztuce, reklamuje Colosseum i to w sposób możliwie obrzydliwy. W ostatniej z takich reklam wyczytałem, że do Colosseum uczęszcza „najwytworniejsza“ publiczność i że „wierzyć się nie chce“ (podaję dosłownie), jakie nadzwyczajne tam odbywają się produkcye Mnie bo „wierzyć się nie chce“, że pismo polskie może się zdobyć na taką — jakby to grzecznie powiedzieć? — na taką, na taką... niepachnącą niewłaściwość.

O innej „niewłaściwości“ mówimy i piszemy teraz dość szeroko. Oto doszło do publicznej wiadomości, że z ministeryum oświaty nadszedł „wink“, aby dla zapobieżenia tak zwanej „hiperprodukcyi inteligencyi“ ostro egzaminować młodzież gimnazyalną i sypać „dwójki“ jak z rękawa. Wszczął się krzyk, na radzie miejskiej lwowskiej tę sprawę poruszono. Rada szkolna zaprzeczyła tej wiadomości — oby jej zaprzeczeniu przeczyć nie można było. W każdym razie „coś“ być musiało, bo tu i ówdzie gorliwie „dwójkami“ szastano. Wiemy też dobrze, że głosy zachęcające do tego „kierunku“, nieraz się odzywają, że mężowie troskliwi o to, abyśmy nie mieli zawiele inteligencyi, wciąż marzą o „przepuszczaniu przez sito“. Masz młodzieńcze nieszczególne stopnie, to... idź do szewca. Mędrcy tego rodzaju nie chcą brać na uwagę, że zdolności często dopiero później się objawiają i że chęć do nauki również często dopiero później przychodzi. Zapominają, że z „celujących“ w szkołach, bywają nieraz zera, a z „osłów“ znakomici ludzie. Świeżo teraz np. ogłoszono świadectwo szkolne Ibsena. Miał on tylko jeden stopień bardzo dobry z języka niemieckiego, dobry z języka ojczystego, historyi i geometryi, dość dobry z łaciny, zły zaś z greki i arytmetyki. Naturalnie w galicyjskich szkołach byłby przepadł i... poszedł do szewca. Maeterlinck pisze o sobie: „w szkołach byłem osłem, a nagrody brałem jedynie z gimnastyki“. I on u nas... poszedłby do szewca. Za to nie jeden nasz kiepski doktor filozofii mógłby być dobrym szewcem, ale niestety „uczył się dobrze“, to jest „kuł dobrze“.

W sprawie wielkiej szarady.

Poniżej zamieszczamy resztę nazwisk osób, które nadesłały rozwiązanie szarady z Nru 1 do biur G. Ungra w Warszawie, skutkiem czego nie zdołaliśmy tych nazwisk wydrukować w poprzednim numerze.

1094 Towarzystwo oszczędnościowe Kurszany. 1095 Dr. Jędrzejowski, Warszawa 1096 A. Kalińska, Kazimierza wielka. 1097 F. Sokolik, Zaporoże kamenskoje. 1099 K. Maczyńska, Wilno. 1100 J. Piasecki, Podkowice. 1101 S. Hatschier, Przemyśl. 1102 A. Wiśniowski, Sulimow. 1103 R. Stoerl, Warszawa. 1104 P. Saluk, Kaczanówka. 1105 J Załęski, Konstancin. 1106 J. Kiliak, Kraków. 1107 B. Mieczkowski, Kraków. 1108 M. Cieszyński, Kraków. 1109 W. Dudziński, Nowy Targ. 1110 K Mączyńska 1111 W. Apelkowski.

Przypominamy też, iż publiczne rozlosowanie nagród odbędzie się w niedzielę 16 bm. o 12 w południe w lokalu redakcyi w Krakowie, ul. Zacisze 7, I. piętro.



Pożar teatru w Ameryce.

O niezwykle przerażającym wypadku, który spowodował śmierć kilkuset osób, doniosły niedawno pisma codzienne. Wypadek ten zdarzył się w małem miasteczku amerykańskiem, Boyertown.

Przed niedawnym czasem zjechał tam wędrowny przedsiębiorca kinematografów i dawał przedstawienia w miejscowym budynku teatralnym, posiadającym widownię na siedmset osób. W dniu katastrofy dawano przedstawienie na dochód miejscowej szkoły, z tego też powodu sala cała była doszczętnie wypełniona publicznością, a przeważały wśród niej dzieci.

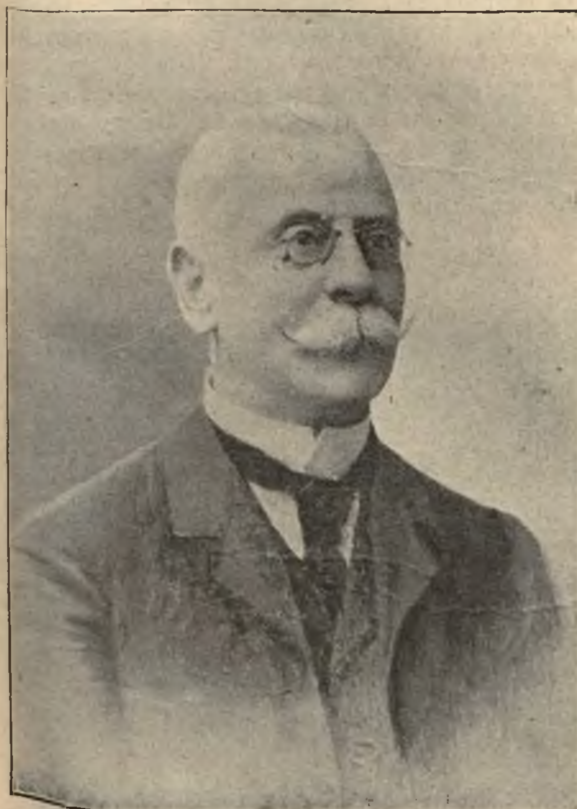


Pożar teatru w Ameryce: Widok głównego wejścia do teatru w Boyertown.

Gdy pogaszono światła i reflektor elektryczny rzucać miał na ekran ruchome obrazy, wzbił się nagle na scenie w górę słup ognia, który z ogromną szybkością objął obramowania drzwi, okien i pułapu. Wszczął się popłoch, wśród którego poprzewracano lampy naftowe, co podsyciło pożar jeszcze bardziej. Publiczność tłoczyła się około dwojga drzwi, gdzie też skłębiły się całe masy ciał ludzkich, duszących się wzajemnie. Pod drzwiami utworzył się jakby pomost z ciał żywych i omdlałych, po których udało się kilku szczęśliwcom wydobyć na zewnątrz. Gdy ugaszono ogień i wydobyto ofiary ze spalonego budynku, naliczono sto sześćdziesiąt zwłok, oprócz mnóstwa osób ciężko rannych. Przeprowadzone śledztwo wykazało, iż katastrofę sprowadził wybuch tlenu ze zbiornika.

Złote gody.

Niezwykłą uroczystość familijną obchodzili ubiegłego poniedziałku państwo Tadeuszowie Dobrowolscy. W kościele św. Mikołaja we Lwowie emeryt. radca namiestn., Tadeusz Nieczuja Dobrowolski, w otoczeniu rodziny swej, święcił złote gody z małżonką p. Adelą z Turowiczów.



Złote gody: Tadeusz Nieczuja Dobrowolski.

„Pan młody“ urodził się w r. 1826 w Będkowkach pow. Tarnów, ukończył studya w roku 1848 w Krakowie i ożenił się tam przed okrągło 50 laty z córką krakowskiego lekarza ś. p. dr. Turowicza. Jako urzędnik państwowy pracował 3 lata przy sądzie, a potem przy rządzie krajowym w Krakowie, w r. 1876 zaś przeniesiony został do namiestnictwa lwowskiego i dosłużywszy się rangi radcy namiestnictwa, przeszedł w 1896 r. na emeryturę. W r. 1863 brał wybitny udział w organizacyi narodowej oddziału krakowskiego. Przez kilka lat prowadził administracyę „Gazety Lwowskiej“ a uporządkowawszy wszystkie długi tego wydawnictwa, oddał je w r. 1875 Władysławowi Łozińskiemu.

Radca Dobrowolski pracował też na polu literackiem, poświęcając się ze szczególnem zamiłowaniem studyom historycznym a owoce tych prac drukował w „Bibliotece Warszawskiej“. W dniu złotych godów jubilaci otrzymali liczne telegramy i listy gratulacyjne.

Odznaczenie polskiego filologa.

(Do illustracyi na stronie 10).

Rząd grecki odszczególnił zaszczytnie krzyżem kawalerskim orderu Zbawiciela filologa polskiego Bonawenturę Graszyńskiego, profesora gimnazyum w Kołomyi, dając tem wyraz uznaniu za jego poezye, pisane w najczystszym języku starogreckim. Odznaczenie to spotyka p. Graszyńskiego na skutek przedstawienia posła greckiego w Rzymie, który po przesłaniu do Aten utworów profesora poety został upoważniony przez swój rząd do przesłania naszemu filologowi tego wysokiego orderu.

Kyr Bonuenturas Grasinios, jak brzmi po grecku nazwisko poety, cieszy się w całym świecie naukowym zasłużoną sławą, jest bowiem jedynym dziś poetą w języku dawnych Hellenów. Urodzony roku 1859 w Wielkopolsce, studya gimnazyalne odbywał w Lesznie, uniwersyteckie zaś w Gryfii, poświęcając się pod kierunkiem ówczesnych znakomitości sanskrytowi i filologii klasycznej. Po złożeniu egzaminu nauczycielskiego pełnił przez lat 16 obowiązki nauczyciela prywatnego w Poznańskiem, poczem dopiero przeniósł się do Galicyi, by tutaj ubiegać się o urząd profesora gimnazyalnego. Zgłaszając się do egzaminu rządowego, przedstawił drukowane już dramaty starogreckie swego pióra, na mocy których został mianowany profesorem w Kołomyi, gdzie dotąd pozostaje, przygotowując do druku coraz to nowe dzieła.

Wywiad u rówieśnika Adama Mickiewicza.

(Do illustracyj na str. 10).

Wśród galeryi aktualnych typów szarego życia miejskiego w Warszawie najwybitniejsze, więc pierwsze miejsce zajął 109-letni starzec, Jakób Baumsztyk.



Złote gody: Adela z Turowiczów Dobrowolska.

Urodził się on w 1798 r. w Radomiu. Przepracował ciężko, to jako krawiec, to jako handlarz, około wieku, a że fortuna potraktowała go po macoszemu, więc zanim śmierć przyszła, poprzedziła ją straszna nędza. Osłabiony niedostatkiem i ciężarem wieku, Baumsztyk nie mógł już pracować i zarabiać; wówczas zaczęły się dla niego całe tygodnie, miesiące i lata zapasów ze śmiercią głodową. Mieszkał „kątem“ z łaski, ubierał się z łaski i żył z łaski... A że łaska pańska — jak mówi przysłowie — na pstrym koniu jeździ, więc też i Baumsztyk całymi dniami nic nie jadał, całymi miesiącami nie miał nic gorącego w ustach, a za posłanie i okrycie służyła mu garść śmieci... I byłby z głodu i chłodu dokonał starzec swego długiego żywota, gdyby nie... prasa. I dziś Baumsztyk, którym na skutek notatek w dziennikach, zaopiekował się dyrektor jednego z banków, p. K., wykąpany, w czystej bieliźnie spoczywa na czystej pościeli numeru w hotelu Poznańskim...

Odżywiany starannie starzec, odzyskał pełnię



Pożar teatru w Ameryce: Ruiny teatru w Boyertown.



Wystawa prac Gwozdeckiego: Gustaw Gwozdecki.

władz umysłowych, a nawet humor. Ze zmiany warunków życia czuje się nad wyraz szczęśliwym. A że pamięć ma doskonałą, jest więc żywą historyą zeszłego wieku. Całą epopeę Napoleońską i rok 1831 pamięta doskonale, a wypadki z roku 1863/4 ma w pamięci — jak sam twierdzi — jak przejścia ostatnich trzech lat...

Do popularności Baumsztyka przyczynił się niemało zbieg okoliczności, iż urodził się w tym samym roku co i Adam Mickiewicz. Tragiczne dzieje historycznego starca sprawiły, że piękna Frania Widerszalówna usunięta została na plan drugi, prasa zaś codzienna i tygodniowa zajęła się Baumsztykiem.



Aparatem redakcyjnym W. Lis.
Wystawa prac Gustawa Gwozdeckiego: Rzeźby Gwozdeckiego.

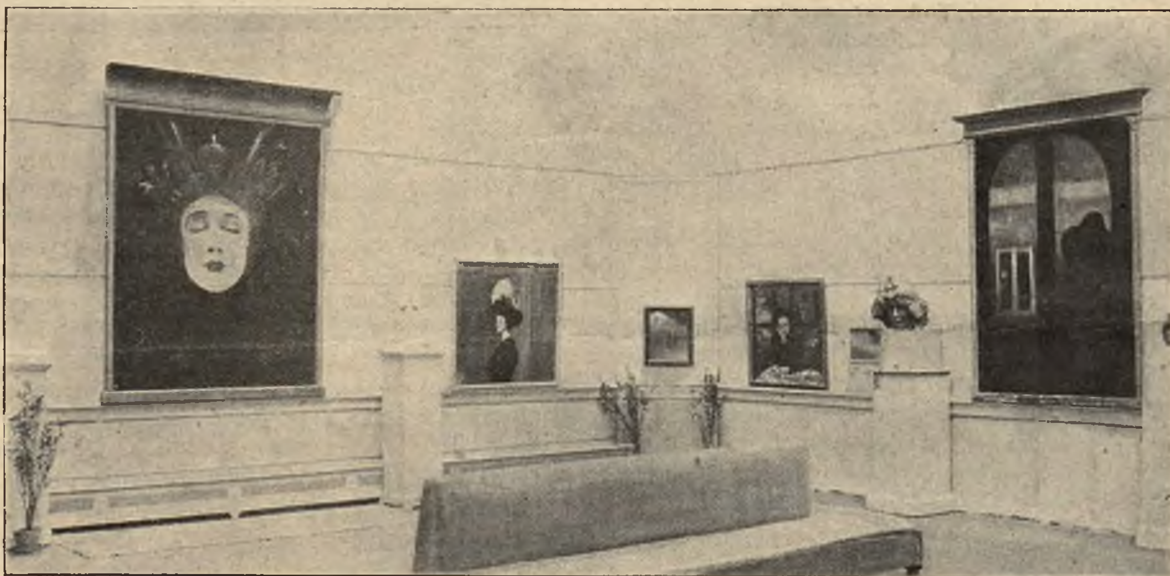
Wystawa prac Gustawa Gwozdeckiego.

„Sztuka jest wszędzie. Sztuka jest jedna we wszystkich swych przejawach. Sztuka trwa, żyje i zmienia się. A zawsze jest jedna, zawsze to samo, wszechpotężne ducha ludzkiego wyzwolenie. Duszą sztuki i jej podstawą jest harmonia, a hasłem wolność zupełna, swoboda twórczości czystej“. Oto wyznanie wiary artystycznej jednego z najmłodszych polskich artystów, Gustawa Gwozdeckiego.

Publiczność krakowska zna już jego prace z wystaw lat poprzednich. Obecnie zagościł znowu Gwozdecki w krakowskim salonie sztuki ze swymi obrazami i rzeźbami. Jest ich niewiele, ale wszystkie niezmiernie interesujące, ogromnie oryginalne i znamionujące autora jako indywidualność nieprzeciętną.

Wiekiem jeden z najmłodszych. Liczy zaledwie 25 lat życia. Urodzony i wychowany w Warszawie, jako 17 letni młodzieniec wyjechał do Monachium na studya i kształcił się naprzód u prof. Grocholskiego, następnie u prof. Aibe. Już pierwsze jego utwory zwróciły uwagę znawców. Z Monachium przeniósł się do Paryża, gdzie pracował przeważnie nad rzeźbą.

Przed cztern laty wystawił po raz pierwszy swe prace w Warszawie. Sądy były o nich rozmaite. Obok bezwzględnych, pełnych uznania pochwał, ostre i surowe zganienia. Już to świadczyło, iż talent Gwozdeckiego nie jest przeciętny, świadczyło też, iż w wypowiadaniu swych uczuć i myśli jest samodzielny, nie idzie utartemi ścieżkami, ale szuka nowych dróg. Tak samo było, gdy jego rzeczy znalazły się na wystawach w Paryżu i Monachium, we Lwowie, w Poznaniu.



Aparatem redakc. W. Lis.
Wystawa prac Gustawa Gwozdeckiego: Fragment z wystawy obrazów Gwozdeckiego.



Opancerzony skarbiec: Wejście do skarbca z kantoru wymiany.

Opancerzony skarbiec.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu w Krakowie, jedna z najpoważniejszych dziś instytucyi finansowych w kraju, urządził w swym gmachu w Rynku głównym skarbiec opancerzony stalą, który pod względem bezpieczeństwa odpowiada najdalej idącym wymogom, a dla stron jest jak najdogodniej urządzony.

Skarbiec ten mieści się w osobnej parterowej ubikacyi, której wszystkie ściany, sufit i podłoga opancerzone są płytami stalowemi, ujętemi nadto i zespojonemi w silne obramowania stalowe. Prócz tego sufit i podłoga są wyłożone i oddzielone od ubikacyi pierwszego piętra względnie piwnicy żelazobetonem. Sposób budowy skarbca, przy uwzględnieniu najnowszych zdobyczy na polu techniki i materyały użyte do stalowych pancerzy, dają zupełną rękojmię przeciw niebezpieczeństwu ognia lub włamania.

Tak samo zabezpieczony jest skarbiec przeciw wdarciu się gazów i eksplozyi. Kilka słów warto też poświęcić specyalnym zamkom systemu „Protektor“, których klucze posiadają wycięcia po ubu bokach, umożliwiające tysiączne odmiany. Celem ochrony mechanizmu zamku od zepsucia z powodu pożaru lub usiłowanego włamania, umieszczono te zamki poza ogniotrwałą masą, wypełniającą wnętrze drzwi. Drzwi zaś są nadto opatrzono zamkiem kombinacyjnym, nie posiadającym ani otworu ani klucza, a otwierającym się jedynie za odpowiedniem ustawieniem szeregu cyfr.

W skarbcu tym oddał Bank do użytku publiczności schowki (Safe-Deposits), celem dyskretnego przechowywania depozytów pod własnym kluczem. Każdy taki schowek jest zaopatrzony w dwa kryte, skombinowane zamki na odmienne klucze, najnowszej konstrukcyi. Należytość za najem schowka jest zależną od wielkości tego schowka i wynosi rocznie od 30 do 75 kor.



Opancerzony skarbiec: Wnętrze skarbca. (Safe Deposits).

I musiało tak być, ponieważ młody ten artysta czyni wyłom w ogólnie zakorzenionym smaku, ceniąc przedewszystkiem wierne, prawdziwe oddanie swych wrażeń i wyobrażeń. A sztuka jego ten tylko temat chwyta i to tylko z niego na barwnej płaszczyźnie podaje, co jest grą świateł i cieni, grą barw, włożonych w plamy rozmaitego kształtu i wielkości. Z wielkim rozmachem i z wielką pewnością rzuca on te plamy na płótno, i zespala w silny, zgodny i nierozerwalny akord. Tematy u niego są bardzo rozmaite. Najczęściej rozstrzyga w ich wyborze jakiś silny efekt świetlny. Przeważnie też widzi się w jego obrazach sztuczne światła, ciemne sale z oknami buchającemi światłem w głębi, chmurne nieba nad morzami ze skrawkami światła itd.

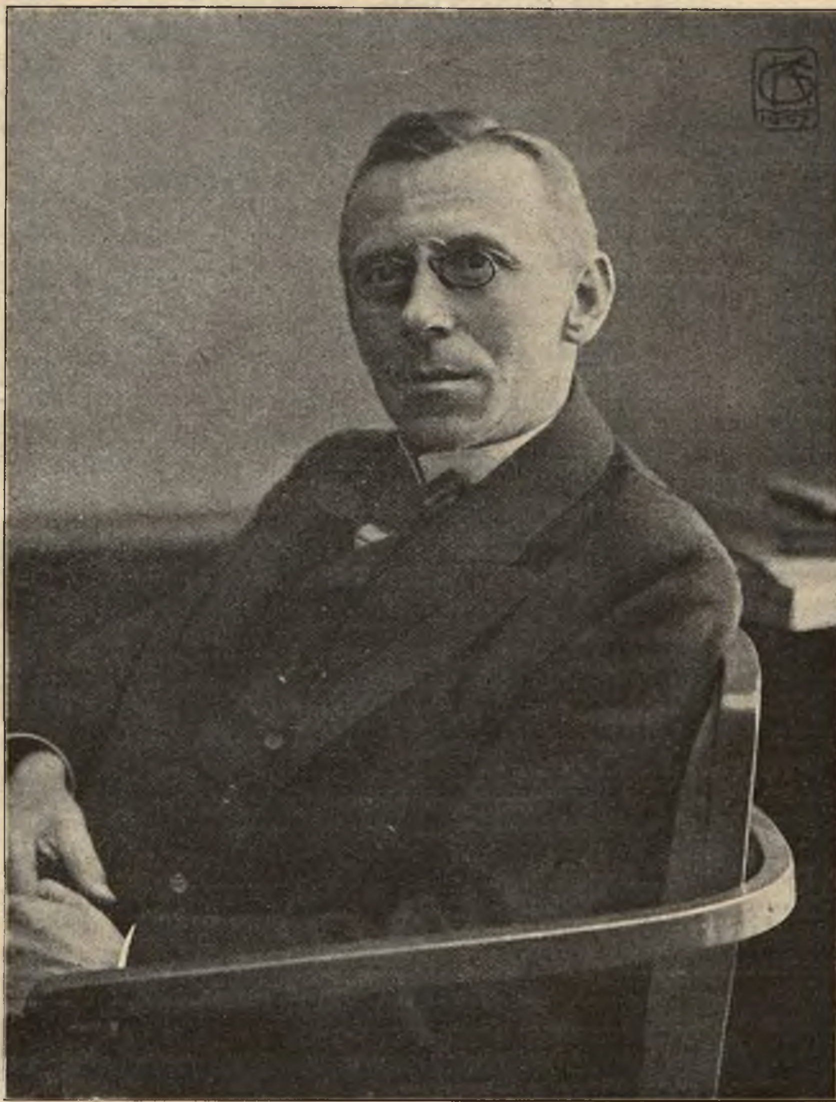
Interesujące są także rzeźby Gwozdeckiego, choć talent artysty nie wypowiada się w nich tak silnie, tak charakterystycznie jak w obrazach.

Dla uzupełnienia sylwetki p. Gwozdeckiego należy dodać, że jest on wybitnie muzykalny. Nietylko biegle gra na fortepianie, ale i komponuje utwory dużej wartości artystycznej.

Ludwik Solski.

Działalność Ludwika Solskiego i jego zasługi dla sceny polskiej w Krakowie, oceniać się musi z dwojakiego punktu widzenia ze względu na dwoisty charakter jego, jako artysty i dyrektora tej sceny. Zaznaczając tu tylko ogólnikowo, iż jako kierownik teatru krakowskiego, zdołał go w krótkim stosunkowo czasie wyprowadzić z zupełnego niemal rozbicia i upadku na wyżyny prawdziwego artyzmu, chcemy poniżej poświęcić mu kilka słów jako artyście.

Pod tym względem ma Solski opinię już dawno wyrobioną i od dawna jednomyślną. Jest artystą z Bożej łaski. Rozpocząwszy na scenie krakowskiej swą karyerę i wróciwszy tu po kilkuletniej tułaczce z rozmaitemi trupami prowincyonalnemi, pracował kolejno pod St. Koźmianem, Gliksonem, Pawlikowskim i Kotarbińskim, powiększając swój repertuar, tworząc coraz to nowe, coraz wspanialsze kreacye i zdobywając sobie zarówno sympatyę jak uznanie krytyki i publiczności.



Ludwik Solski.

To samo było we Lwowie, gdzie za czasów dyrekcyi T. Pawlikowskiego, wybił się na czoło ansamblu dramatycznego, a nadto jako reżyser okazał wybitne zdolności, bogatą pomysłowość i prawdziwe zamiłowanie piękna. Powołany na stanowisko dyrektora teatru w Krakowie, powrócił do tego miasta, które patrzyło na jego pierwsze kroki w zawodzie aktorskim i które śledziło rozwój jego wielkiego talentu. I dziś patrzy znowu Kraków na grę Solskiego, dziś gdy ten talent jest na szczycie rozwoju.

O talencie Solskiego, jego rozmiarach i jego wszechstronności, świadczy najlepiej to, że nie posiada ściśle określonego zakresu ról. W każdej sztuce może objąć rolę, nie mającą nic wspólnego z poprzedniemi kreacyami i stworzyć z niej arcydzieło sztuki aktorskiej. A w każdej roli, bez względu na to, czy ona jest pierwszorzędną, czy drugoplanową, Solski daje ludzi żywych, typy uderzające wyrazistością i jędrnością. On żyje życiem odtwarzanych na scenie postaci. To też wrażenie wywiera potężne, na długo niezatarte, już swą maską zawsze nadzwyczajną, mimiką nieporównaną.

Niepodobna tu, w krótkiej sylwetce wymienić nawet najwybitniejszych ról w niesłychanie bogatym i urozmaiconym repertuarze Solskiego. Jest ich za dużo ku temu. Starczyć muszą tylko słowa szczerej podzięki za tyle chwil miłych, dzięki jemu w teatrze spędzonych, i słowa najgorętszego, bez zastrzeżeń, uznania.

* * *

W uzupełnieniu zamieszczamy w dzisiejszym numerze reprodukcyę ostatniego portretu L. Solskiego, wykonanego przed paru dniami prawdziwie artystycznie przez nowy zakład fotograficzny pp. Kuczyńskiego i Gürtlera w Krakowie.

Z lwowskiego bruku.

(Los mojej kroniki. — Ostatni hymn o lwowskim bruku. — Lwów w bielutkiej koszulce. — Słodka śmierć. — Nasz weksel wdzięczności. — Marzenie o maju. — Spowiedź stolicy. — Litania ewentualnych grzechów. — Śmierć idzie — wybaczcie..

Piszę bez najmniejszej pewności, czy słowa te nie ugrzęzną gdzie w miękkiej pierzynie śnieżnego puchu między Rodatyczami a Sądową Wisznią. Może staną się wiktem dla wilków lub myszy polnych lub utoną i dopiero kiedyś, po wiosennych roztopach, w gorące majowe południe ujrzą blask słońca, by igrać figlarnie po placie kolejowym ze skórkami pomarańcz i skrawkami zatłuszczonych gazet.

Więc smutne jest moje (niegdyś tak wesołe) pióro, a czarne, ciężkie łzy atramentu spływają zeń na białą płachtę papieru...

Śmiech mój może być tylko sztuczny, a grymas wymuszony będzie bolesnem ust skrzywieniem.

„Z lwowskiego bruku“... Łatwo wypisywać ucieszne historyjki z tego bruku, gdy w piękny letni dzień jest wyszczotkowany majsterską szczotką lub choćby w październikowy, mokry wieczór, gdy latarnie kokieteryjnie przeglądają się w jego błotnych zwierciadłach... Łatwo, gdy jest czysty, brudny, zachlapany, rojący się od ludzi, psów, koni i policyantów, jęczący głuchym turkotem jednokonki lub wzdychający pod słodkim ciężarem rozpryskujących błoto gum... Łatwo, gdy przez ułożone w nim szyny posuwa się melancholijnie, biedny, odrapany w agonii śmiertelnej tramwaj konny... Łatwo w dzień, w nocy, w lecie, na wiosnę...

Ale trudno niepomiernie pisać o lwowskim i z lwowskiego bruku, gdy leży pod grubą kołdrą śniegu. Jesteśmy zasypani i polakierowani wszyscy na biało... Ach, gdyby tak teraz wraz z ciągłą bezustanną zadymką przyszła na stolicę biała matka-śmierć, by ją zabrać na łono wieczności — Lwów poszedłby w niebyt biały i niewinny, jak pensyonarka po pierwszej komunii... I to jest jedyny promienny, jakiś zaświatowy uśmiech szczęścia i błogości, który nam się błąka na ustach. Mówię, że śmierć pod śniegiem, w polu czystem i białem, po kilku kieliszkach wzmocnionej od Baczewskiego, jest roskoszą... Jakże mało brakuje nam wobec tego do ukojenia!

Więc ślę wam, szczęśliwszym niestety! ten ostatni półuśmiech z nad otwartego grobu. Za dzień, dwa, może dopiero za tydzień, Lwów zniknie z powierzchni galicyjskiego raju, z mapy, z wykazów statystycznych, z Baedekera (aha!) a zostanie tylko w wdzięcznej współrodaków pamięci.

Żegnajcie. Nie przedśmiertne roztkliwienie, ale pełna, męska świadomość odpowiedzialności za ziemskie uczynki otwiera nam pojednawczo ramiona. Chcielibyśmy zejść z tego padołka po spłaceniu wszystkich rachunków — jeżeli nie możemy płacić natychmiastowo gotówką, przyjmijcie ten weksel na wdzięczność z trzymiesięczną płatnością. A nuż? Nuż tam w górze ktoś w ostatniej chwili zasunie dziurę w niebie, przez którą sypie się ta straszna biała zagłada — i będziemy uratowani? „Po co ryzykować?“ Żyrantem na tym wekslu jest i tak śnieg — a za trzy miesiące? W maju!!? W maju może będziemy już spacerowali po jezuickim ogrodzie, „banda“ będzie grała walca z „Trzech żon“, słońce będzie wesoło lśnić przez zielone krzaczki... Ach...

Jestto jednak majaczenie... Wybaczcie. Ogród, bandę, Gołuchowskiego, trzy żony, krzaczki — wszystko zasypało... Śnieg — ten straszny wróg nasz zwala się na te cuda niewdzięcznym ciężarem i dusi wszystko... Wybaczcie... Tak duszno, może to już koniec? Chciałbym imieniem stolicy telefonicznie pocałować cię raz jeszcze stary, podwawelski grodzie, ale linia przerwana... Bywaj! Z pod białego całunu wyciągam do cię jeszcze raz prawicę ku krwawiącemu w zachodzie słońcu..

Gotujemy się na śmierć... W spowiedzi chcielibyśmy zliczyć nasze grzechy, ale na to stanowczo niema czasu. Złowieszczy duch Śnieżycy stoi nad nami z cebrzykiem ostatniej porcyi śniegu i nagli. Załatwiamy się więc negatywnie, czego nie popełniliśmy jeszcze.

— Mogliśmy nie złapać Wasińskiego,
— wypuścić z aresztów wszystkich złodziejów,
— okraść wszystkie banki,
— zrobić milion upadłości,
— wybudować jeszcze jedno muzeum przemysłowe,
— wybudować miejską galeryę sztuki,
— kupić jeszcze parę pak obrazów od Jakowicza,
— postarać się o jeszcze trzy tingle,
— dać koncesyę na dwa szynki w każdej kamienicy,
— nie układać statutu miejskiej kasy oszczędności, miejskiego zakładu pogrzebowego, miejskiego lombardu,
— wybrać we wszystkich okręgach Małachowskich i Głąbińskich.
— nie budować nowych Jägermanówek,
— w Radzie miejskiej mieć samych swoich „miszczanów“,
— nie sprowadzać pługów i szczotkarek,
— urządzać co roku konkurs dramatyczny,
— mieć jeszcze 10 dzienników,
— mieć jeszcze 200 inteligentnych policyantów. —

Śnieg skinął ręką.

— Majaczysz stolico. Napij się czegoś gorącego, to skończymy.

I począł tańczyć wesoło po ulicach i hulać po ogrodach.

A my nie wiemy, co będzie z nami. Brzask, zimna śmierć coraz bardziej zaciska płachtę dookoła naszej szyi...

Żegnajcie. Wybaczcie nam wszystko, wszystko.... Wybaczcie nam, że i w przeddzień śmierci myśleliśmy jeszcze o konkurencyi z wami i urządziliśmy sobie oryginalniejszą i grubszą od waszej kradzież...

Śnieg sypie... Już tylko wieża ratuszowa sterczy nad białem morzem.

Otulam to moje ostatnie dziecko w koszulkę niebieskiej koperty i kładę je w trumnę austryackiej poczty... Żegnajcie...

Jerzy Gips.

Trafiła kosa na kamień.

Powieść na tle aktów policyi paryskiej, napisał W. K.

12 Ciąg dalszy.

Zaledwie miał czas odłożyć kapelusz i zarzutkę, gdy wpadł służący Blanc'ów z doniesieniem, że młody pan bardzo chory, a panna de la Croix prosi, by doktór czemprędzej pospieszył. Prawdziwie szczęśliwy dzień, że po niego przysłali, to wybornie, bo widać z tego, że hipnoza z Jacques'em się udała, a więcej: będzie sposobność zaskarbienia sobie względów państwa Blanc, przez okazanie czułej troskliwości choremu. Trzeba się tylko jeszcze jakoś przystroić, nadać sobie cech człowieka eleganckiego. Uczynił to prędko, zebrał się i wyszedł do przedpokoju, gdzie czekał służący Blanc'ów.

— Czy nie słyszałeś, co się młodemu panu stało?

— Podobno ma gorączkę, ale panna de la Croix powiedziała, że niema nic niebezpiecznego.

— Czy ta panna de la Croix widziała chorego?

— Nie odstępuje od jego łóżka i podaje mu wciąż zimne okłady.

Doktór uśmiechnął się. Wszystko się mu wiedzie jak najlepiej. Jacques chory, Mary de la Croix go pielęgnuje, oczywiście przez to zacieśnią się jeszcze węzły między nimi. A może też i Mary de la Croix wpadnie w tę sieć hipnotyzmu? Trzeba będzie odrazu ująć ją sobie, pozyskać jej sympatyę. Najłatwiej przez zręczne pochlebstwo, bo ono zawsze bywało, jest i będzie najlepszą wędką na wszystkie kobiety całego świata.

Pełen otuchy, zadowolony wszedł doktór Hergenrötter do pokoju chorego. Spostrzegłszy Mary, zdumiał się nad jej wspaniałą postawą i ukłonił się mimowoli z większem uszanowaniem, niż zwykle, przedstawił się jej i przystąpił do łóżka. Zaledwie dotknął chorego, zmienił się, znać było na jego twarzy zakłopotanie.

— Prawda panie doktorze — rzekła Mary — że to udar mózgu?

— Niestety, tak jest — odpowiedział dr. Hergenrötter przygnębiony.

I nie dziw. Był powód przygnębienia. Jeżeliby Jacques umarł, przepadłyby miliony, bądźcobądź potrzebne na wypadek, gdyby się też małżeństwo z córką Blanc'ów nie udało. Ale w chorobie mózgu, za pierwszym jej objawem, zwykł chory wynurzać się ze wszystkiego, czem myśl jego zajęta. A nużby tak opowiedział chory... Ej — cóż znowu. Gdyby nawet i coś opowiadał, wziętoby to za zwykłe brednie, prawione w gorączce.

— Po czem pani się domyślała, że to zapalenie mózgu?

— Po tem, co mówił — odpowiedziała Mary spokojnie, ale z naciskiem.

— A cóż mówił takiego, jeżeli pani spamiętała?

— Nietylko spamiętałam, ale nawet spisałam wszystko, a po części stenografowałam. Wszystko to rzeczy bardzo ciekawe.

Doktór podniósł się z krzesła, stanął naprzeciw Mary, wpatrzył się w nią bystro i zadrżał. Mary wpatrywała się w niego przeszywającym wzrokiem. Było widoczne, że doktor Hergenrötter domyślił się prawdy. Znalazł się w sieci, przez siebie samego zastawionej. Albo wyjść udając, że się niczego nie domyśla, albo stoczyć walkę, wydrzeć notatki i stenogramy i zniknąć. Pierwszy sposób wydobycia się z matni — bezpieczniejszy, więc doktór wysila się na obojętność i mówi:

— Chciałbym się porozumieć z panem Blanc w sprawie chorego, zapisać receptę i zostawić dokładną ordynacyę.

To powiedziawszy — zdążał ku drzwiom, ale Mary zastąpiła mu drogę i rzekła spokojnie:

— Niech pan doktór nie trudzi się bez potrzeby do pana Blanc'a, bo ja go tu zupełnie zastąpić mogę, a do napisania recepty posłuży panu bardzo dobrze mój blok notatkowy.

— Spostrzegam, że pani jest cokolwiek despotyczną, a ja nie zwykłem ulegać despotyzmowi kobiet...

— Niekiedy bywa to koniecznością.

— Ale tym razem nie będzie koniecznością — syknął doktór Hergenrötter i przyskoczył do Mary, aby pochwycić jej prawą rękę, gdyż spostrzegł, że trzyma w niej pod fartuszkiem rewolwer. Nie zdążył tego dokonać i Mary przyłożyła mu rewolwer do czoła.

— Co to znaczy? — zawołał doktór.

— To znaczy: trzy kroki wstecz, ręce przy sobie — zawołała Mary, ale już nie przybranym, kobiecym głosem.

W tej chwili przestała być panną de la Croix, przed Prusakiem stał Freddy Guttman, syn George'a Internationale. Prusak przeraził się i był posłuszny, jak zwykle Prusak, w powodzeniu hardy, wyniosły i wszysko depczący, a złapany za kark: potulny, pokorny, płaszczący się aż do upodlenia.

— Postąpić naprzód i stanąć, twarzą do ściany. Prędzej! Spiesz się pan! bo kulą zdruzgotam kolano. Raz, dwa...

I tej komendy natychmiast usłuchał, ale zgrzytał zębami z wściekłości. Freddy, trzymając rewolwer, zwrócony ku Prusakowi, lewą ręką pocisnął guzik od dzwonka. Wpadł natychmiast służący i zobaczywszy, co się dzieje — osłupiał, a osłupienie jeszcze się wzmogło, gdy usłyszał rozkaz:

— Pobiegnij czemprędzej na policyę, poproś, aby przysłano natychmiast silną straż na życzenie George'a Internationale. Zakazuję ci mówić komukolwiek o tem, coś tu w tej chwili widział.

Zaledwie kilkanaście minut upłynęło, zjawił się urzędnik policyjny z dwoma policyantami. Freddy przedłożył mu swoją legitymacyę, a urzędnik ze zdumieniem spoglądał na to niezwykłe zjawisko młodego mężczyzny, który miał być piękną kobietą.

— To jest doktor Hergenrötter—mówił Freddy — na którym ciąży zamordowanie agenta asekuracyi z Lyonu, uprowadzenie panny Hermance de Blanc, przepiłowanie balkonu we willi Blanc'ów. Oddaję go w pańskie ręce, proszę go uwięzić na moją odpowiedzialność.

— A to prawdziwa niespodzianka, ktoby się był tego spodziewał — szepnął urzędnik policyjny.

Prusak nie opierał się, zupełnie przygnębiony.

— To także ofiara tego zbrodniarza — mówił Freddy, wskazując na Jacques'a. Mam nadzieję, że za kilka dni, obaj z ojcem przedłożymy panom cały szereg zbrodni tego człowieka. Ale stanowczo o to proszę, aby o tem wszystkiem, co tu stało, zachowano tajemnicę urzędową. Do dzienników nic dostać się nie powinno.

— Niech pan będzie zupełnie spokojny. Mamy polecenie spełniać wszelkie życzenia pana.

Policya oddaliła się, zabrawszy z sobą Prusaka, a Freddy zbliżył się do chorego. Jacques leżał bez ruchu, zdawało się, że zasypia, a on ostatnie wydawał tchnienia i właśnie w tej chwili przybył lekarz domowy państwa Blanc'ów. Nie zastano go w domu, nie mógł przyjść natychmiast, gdy po niego posłano, a gdy wszedł teraz do pokoju, szepnął mu Freddy, przyjmując znowu rolę kobiety:

— Zdaje się, panie doktorze, że już zapóźno.

— Niestety! — odpowiedział doktor.

Jacques umarł na udar mózgu.

Na wiadomość o tem wpadli oboje państwo Blanc przerażeni i zapłakali serdecznie nad zwłokami przybranego syna.

— Już nie mamy nikogo — rzekła pani Blunc zanosząc się od płaczu.

— Prawdopodobnie tylko do jutra — rzekła Mary de la Croix.

X.

Nazajutrz, przed południem, zajechała przed pałac Blanc'ów dorożka i wysiadł z niej wiekiem pochylony starzec, który tylko z pomocą służby zdołał się na piętro po schodach wyspinać. Dał lokajowi bilet, żądał widzenia się z bankierem. Obydwoje Blanc'owie zdziwili się bardzo, wyczytawszy na bilecie: „Major Turtillet“. Nie znali takiego majora, ani nie słyszeli o takiem nazwisku, mimo tego kazali poprosić gościa do salonu.

— Państwo wybaczą, że pozwoliłem sobie złożyć wizytę może zbyt wcześnie. Ale że to sprawa dość ważna, a zwłaszcza dla przybranego syna państwa, przeto spodziewam się przebaczenia — rzekł major na wstępie.

— Jeżeli to ma być sprawa naszego przybranego syna — odpowiedział de Blanc — to prawdopodobnie załatwić jej nie będzie można.

— Czy pan sądzi, że załatwienie jej napotka na wielkie trudności?

— Nie to — panie majorze, lecz nie będzie z kim jej załatwiać, bo nasz przybrany syn wczoraj umarł.

— Umarł! — krzyknął major i zerwał się z krzesła.

— Pana majora to tak bardzo przeraziło?

— Nic dziwnego. Znaczna część mojej pracy przepada daremnie. A teraz dość mistyfikacyi — dodał głosem zupełnie innym i po tym głosie państwo de Blanc poznali Guttmana.

— A, to pan! Rzeczywiście nie mogliśmy się spodziewać bardziej upragnionego gościa. W tej ciężkiej boleści naszej, gdyśmy tak osamotnieni, gdy już nikogo przy sobie nie mamy, potrzeba nam bardzo pociechy i tej od pana oczekujemy. Córka pańska powiedziała nam wczoraj, że tylko do jutra będziemy samotni, a więc dziś powinnyby się spełnić jej słowa.

— I spełnią się istotnie. Za godzinę przytulicie państwo swoją córkę do serca. Proszę się tem nie przerażać, gdy ją zobaczycie zmienioną, niezdrową i znękaną. Jestto wynikiem zbrodniczych zamachów na nią, ale jestem pewien, iż po kilku dniach wyzdrowieje zupełnie i będzie taką samą, jak była.

— Na Boga! panie Guttman — zawołała pani de Blanc — czy ta biedna dziewczyna nie popadła w obłąkanie?

— Nie pani! Ale teraz wybaczą państwo, że dalszej rozmowy zaniecham, a poproszę, abym mógł sam na sam widzieć się z moją córką.

Wzruszenie Blanc'ów było ogromne. Zrazu gwałtowne bicie serca przykuwało ich do miejsca i tłumiło mowę, potem pani Blanc zapłakała, a były to łzy i radości i niepokoju zarazem. Złożyła ręce do modlitwy i powtarzała: „Boże! Dzięki ci za łaskę Twoją! Boże! czuwaj nad dziecięciem!“ De Blanc przechadzał się szybkim krokiem po salonie, niespokojny, niecierpliwy. Każda minuta wydawała im się godziną, nawet dniem, tygodniem; wyczekiwanie było dla nich najstraszniejszą torturą.

Lokaj zaprowadził mniemanego majora do saloniku panny Mary de la Croix. Gdy się teraz sam na sam ze sobą znaleźli obaj Guttmanowie, zdawali sobie sprawę ze swej wzajemnej działalności. Gdy Freddy opowiedział ojcu o wszystkiem co widział, słyszał i uczynił, rzekł stary Guttman:

— A toś chłopcze dzielnie się spisał. Widzę, że załatwimy się z tem wszystkiem prędzej, niż sądziłem. Telegrafowałem dziś do Londynu po doktora Tonkinsa. Jeżeli jutro przyjedzie, to rzecz będzie skończona. Doktor Hergenrötter dowie się, że trafiła kosa na kamień.

— Że doktor Tonkins jest znakomitym hipnotyzerem, to wiem dobrze, ale czy włada na tyle językiem francuskim, albo niemieckim, aby Hergenröttera hipnozą pokonał? — wtrącił Freddy.

— Ale cóż znowu? taki to z ciebie pomocnik swojego ojca, George'a Internationale, że nie znasz najsławniejszych ludzi w Londynie? Taż ten człowiek pięcioma językami mówi tak biegle, tak poprawnie, tak czysto, jak angielskim. W tem cała sprawa, który z nich ma większą energię w sobie, bo jeżeli ma trafić kosa na kamień, to trzeba, żeby ten kamień dobrze ją wyszczerbił. Gdym się przysłuchiwał hipnotyzowaniu Hergenröttera, nabrałem przekonania, że doktor Tonkins pokona Hergenröttera, ma więcej od niego siły woli, więcej prądu energii. Może to i stąd pochodzi, że Tonkins jest człowiekiem uczciwym i ma czyste sumienie, a Hergenrötter jest łotrem skończonym i oczywiście sumienie trzęsie się u niego, jak mysz w pudle. Ważna to rzecz, aby się posługiwać tymsamym układem zdań, jakim posługiwał się Hergenrötter. Ja sobie u króla dziadów wszystkie zanotowałem. Doskonaleś uczynił stenografując to wszystko, co Jacques mówił. Miej teraz wciąż na baczności urzędników bankowych: Karola Claro i Emila Terra. No do widzenia chłopcze. Czuwaj i spisuj się dalej tak dobrze, jak dotąd.

Wyszedł Guttman, wrócił do salonu, poprosił panią Blanc, aby wyszukała odpowiednie ubranie dla córki, zapakowano je w pudła i Guttman z de Blanc'em pojechali fiakrem do dziadowskiej dzielnicy. Po drodze opowiadał detektyw wszystkie szczegóły o hipnotyzowaniu panny Blanc przez doktora Hergenröttera.

Straszne było przerażenie biednego ojca, gdy w takiej nędznej budzie zobaczył swoje dziecko zmienione, wynędzniałe.

Hermance spojrzała na ojca zimno, obojętnie, ona, która tak ojca ubóstwiała, pieszcząca go i pieszczona przez niego. W jej oczach drgały jakieś zagadkowe błyski apatyi, czy zamyślenia. Był to skutek suggestyi hipnotycznej, która przygniata zupełnie samodzielną wolę ofiary, a zniewala ją do kierowania się wolą cudzą, wolą hipnotyzera.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożył S. Spunda ze Skały.

I.

Pierwsza, druga, jest kraina,
I piękna i żyzna.
Trzecia, druga, wszak to imię,
Nosi je mężczyzna.
Całość — to kobieta. którą
Pierwsza, druga chowa,
W swej prostocie i skromności
Piękna ani słowa.

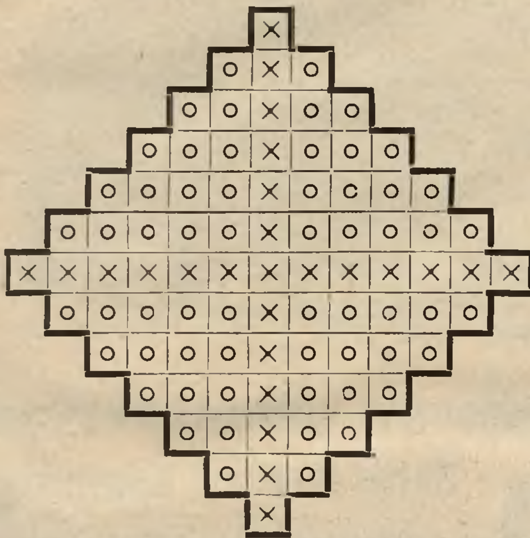
II.

Pierwsza, druga znana w Polsce
Z dobrej i złej strony,
Druga, czwarta, piąta, wyraz
Przyrodą też zwany;
Piąta, trzecia, druga, miasto,
Leży w Włoskim kraju —
Całość wreszcie jest to imię
Męskiego rodzaju.

Logogryf.

Ułożyła J. Gomulińska, Bóbrka.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery zastępujące krzyżyki, dały imię i nazwisko znakomitego skrzypka francuskiego w Berlinie.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Niemczech. 3. Miasto we Włoszech. 4 Część świata. 5. Wyspa w Amerçe. 6. Miasto na Kaukazie. 7. ? 8. Wyżyna i góry w Indyach wschodnich. 9. Państwo w Ameryce środkowej. 10. Dopływ Łaby 11. Jezioro w Rosyi. 12. Dopływ Dunaju. 13. Samogłoska.

Zagadka.

Ułożyła Zofia Mentzlówna z Woronówki.

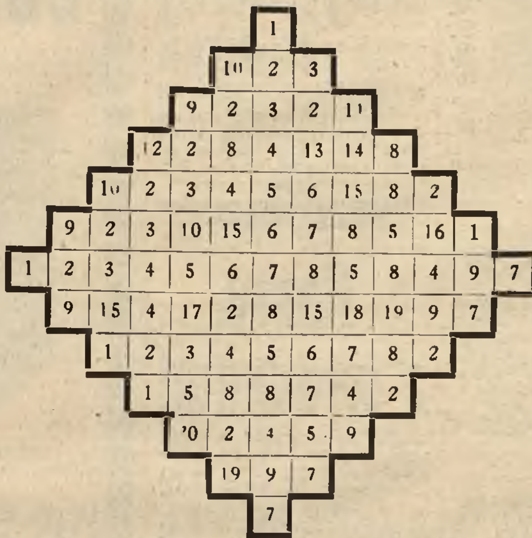
Pierwsze litery dadzą imię i nazwisko powieściopisarza polskiego, ostatnie tytuły dwóch jego powieści.

Znaczenie wyrazów: 1. Miejsce bitwy za Napoleona I. 2. Spirytus pozbawiony wody. 3. Inaczej zamęt. 4. Koryto rzeki. 5. Błazen. 6. Gubernator tureckich prowincyi. 7. Inaczej kołczan. 8. Przydomek, jaki żydzi dali Chrystusowi w skróceniu. 9. Jutrzenka 10. Książę u Hindusów. 11. Ryba. 12. Telegraf do dawania sygnałów kolejowych. 13 Szczep Indyan. 14. Miejsce kąpielowe. 15. Artysta, wykonywujący po mistrzowsku utwory muzyczne. 16. Choroba dziąseł. 17. Świątynia Mahometa. 18. Po łacinie »w użyciu«.

Arytmogryf.

Ułożył A. Rotter ze Stanisławowa.

Litery środkowe z góry na dół i w rzędzie 7. dają imię nazwisko zmarłego przed 6 laty przyrodnika i lekarza polskiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Miasto na Wołyniu 3. Ryba. 4. Saliny w Galicyi. 5. Miasto w Hiszpanii. 6 Rodzaj smarowidła. 7. ? 8. Nazwisko poety polskiego. 9. Imię żeńskie. 10. Miejsce, gdzie biją monety. 11. Imię męskie. 12. Przyrząd sportowy. 13. Samogłoska.

Za trafne rozwiazanie powyższych zagadek przeznaczamy **Ludwika Stanisława Licińskiego: »Z pamiętnika włóczęgi«.**

Rozwiązanie zagadek z Nru 5.

Logogryf.

Z próżnego i mądry Salomon nie naleje.

Logogryf.

Karnawał.

Szarada.

Turczynka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: A. Kudła Tapin, J. Pieniążek Zürich, J. Biegoń Sucha, O. Górkowa Chyrów, Z. Grabińska Kocierzowa, J. Dik Andrychów, Z. Furko Kraków, Dr. Boczar Kraków, C. Fijałkiewicz Lwów, R. Jaworski Kraków, F. Niepokój Krosno, H. Pawłowska Bóbrka, A. Bocsoń Bóbrka, E. Bogdalska Koropuż, S. Kopffowa Tarnów, P. Lewandowski Lwów, R. Czaplicki Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. H. Pawłowska, Bóbrka. Prosimy o nadesłanie 35 halerzy na koszta przesyłki.

Głosy publiczne.

T. S. L. Podajemy do wiadomości publicznej, że Zarząd Główny Towarzystwa Szkoły Ludowej otrzymał od bezimiennego ofiarodawcy dar, w kwocie 30 000 rubli, na budowę gmachu seminaryum naucz. polskiego T. S. L. w Białej. Podnosząc z gorącem uznaniem ten znamienny objaw obywatelskiej ofiarności na instytucyę narodową, tyle ważną i potrzebną na zagrożonych kresach, tą drogą składamy szczere i serdeczne hojnemu O f i a r o d a w c y podziękowanie, imieniem Zarządu Głównego T. S. L. Dr. Ernest Bandrowski prezes. Antoni Januszewski sekretarz.

ZYGMUNT LIPSKI, Magazyn wyrobów jubilerskich

44 47 51 **w KRAKOWIE, ulica Sławkowska L. 3 (Hotel Saski)** 1 4 7

poleca swój bogato zaopatrzony magazyn jubilerski w największym i najpiękniejszym wyborze, gustu i wykonania: **Biżuterye, Pierścienie zaręczynowe i ślubne,** oraz zegarki z pierwszorzędnych fabryk szwajcarskich: **„Omega“, „Badolet“, „Andemars Fréres“, „Schaffhausen“.** — Srebro stołowe prawdziwe, oraz srebro chińskie z najlepszych fabryk.

Cenniki illustr. na żądanie darmo i opłatnie

Największy WYBÓR LALEK na Galicyę!



Fabryka Lalek, KRAKOW, ul. Wolska 1/a

Specyalność: Lalki z prawdziwemi włosami, blaszanemi głowami (skórzane) i w krakowskich strojach. — Buciki, pończoszki, kapelusiki, parasolki, zegarki, mebelki i t. p. na składzie.

Do wypraw ślubnych

Kompletne urządzenia Sypialń, Jadalń, Salonów, Pokoji męskich oraz różnych Mebli stylowych i tapicerowanych poleca po cenach najprzystępniejszych

JAN TKACZ I SYN 5—16

Zakład artystyczny tapicersko-dekoracyjny i Magazyn mebli stylowych

LWÓW, KOPERNIKA 18.

200 Rubli miesięcznego dochodu, może każdy osiągnąć. Oferty dla „K R. 200“ nadsyłać do Biura Ogłoszeń UNGRA, Warszawa, ulica Wierzbowa 8.

Około 100.000 sztuk w użyciu. 5 lat gwarancyi. 8 dni na próbę.

Brzytwa Nr. 31 z najlepszej Solingera srebrnej stali, na ½ wklęsłości szlifowana, z fantazyjną okładką według wzoru, w pudełku, K 2·50. — Nr. 32, takasama ale na ¾ wklęsłości K 3·—. — Nr. 33, takasama, ale na ¹/₁ wklęsłość, K 3·80. — Nr. 8700, z czarną, gładką okładką na ¼ wklęsłości K 1·50. — Garnitur do golenia w polerowanej drewnianej kasetce z lustrem, zamykanej, zawierającej brzytwę, pasek do ostrzenia, penzel, kubek i mydło, K 4·20, 5·50, z grzebykiem bezpieczeństwa 60 hal więcej. — **Żadne ryzyko!** Jeżeli się nie podoba, **zwracam pieniądze.** Wysyłka za pobraniem tylko przez znany w całym świecie Dom wysyłkowy

Hanns Konrad c. i k. dostawca Dworu **w Brüx,**

Nr. 1106 (Czechy)

Katalog główny z 3000 wzorami na żądanie posyła każdemu darmo i opłatnie.

Baczność!

Świetny zarobek! Trwałe zajęcie w lecie i w zimie!

Oddalenie, płeć stanowisko i wiek obojętny. Bliższe szczegóły w prospekcie firmy:

Thos. H. Whittik i Ska
Prag, Francensquai 6—191

Najtaniej

dostać można u firmy: **Józefa Feila**

w Krakowie, ul. Grodzka 60

wyroby złote i srebrne, oraz zegary i zegarki genewskie dobrze uregulowane, n. p. zegarek niklowy Anker z łańcuszkiem K 5. Cenniki wysyłam darmo.

Karty z widokami

zawsze z nowościami w dziale sztuki, piękności kobiecych, miłosne i dziecięce serye, kwiaty i krajobrazy, **na Wielkanoc,** urodziny i imieniny etc.

10 szt. dobrej sorty w kopercie K —·50
50 „ „ „ „ „ 2·25
100 „ „ „ „ „ „ 4·—

Jeżeli się żąda niesortowanych kart, należy zawsze podać gatunek wyżej wzmiankowany, który ma być dostarczonym. Zamówienie uskutecznić najlepiej na odcinku przekazu pocztowego. — Wysyłka za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy wraz z należytością dodatkową 20 halerzy na porto za pośrednictwem

c. i k. dostawcy dworu

Hanns Konrad
dom przesyłkowy
w Brüx, Nr. 913 (Czechy)

bogato illustrow. główny katalog z 3000 podobiznami przesyłam na żądanie każdemu za darmo i wolne od opłaty pocztowej.

Kraków **Kraków**
Sławkowska L. 3 Hotel Saski
Telefon 516 Telefon 516



ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny

Skład Bielizny, Kapeluszy,

Obuwia amerykańskiego

i przyborów do podróży.



Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Ostatnia nowość!

Mydło glicerynowe kwiatowe

Kawałek po 20 kop.

w następujących zapachach:

IRIS
JAŚMIN
FIJOŁEK
LILAS DE PERSE
MIMOZA
MUGUET
SWEET PEA

TOW. AKC.

FRYDERYK PULS

W WARSZAWIE, PLAC TEATRALNY Nr. 11 — NOWY ŚWIAT Nr. 41.

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią zadowolnić

TUTKI CYGARETOWE

FRAM

z watą „Salvesol-Noris“

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien liści morwowych, więc nic dziwnego, że pali się lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Własności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

wata „Salvesol“.

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio-mocnych — wskutek swego nader delikatnego włókna roślinnego. — Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć zatrucia nikotyną, powinien palić tylko **w cygarniczkach szklanych** z watą „SALVESOL“. **Oryginalny pakiecik waty „Salvesol“ wystarcza na 200—400 papierosów lub cygar.**

1000 sztuk tutek „Fram“ Kor. 3·—.
10 cygarniczek 1 Kor. 20 hal.
Pakiecik waty „Salvesol“ 30 lub 60 halerzy.

Zakład przemysłowy wyrobów papier. „Noris“

Mr. W. BEŁDOWSKI, Kraków, 2

WŁADYSŁAW KOTERBICKI LWÓW AKADEMICKA 24

Niniejszem mam zaszczyt donieść Szanownej P. T. Publiczności, że otworzyłem przy ulicy Akademickiej L. 24 **Handel towarów korzennych, delikatesów, win i owoców południowych,** zaopatrując takowy w towary pierwszorzędnej jakości. Handel mój połączyłem z **pokojami do śniadań** urządzonemi z komfortem i wyśmienitą kuchnią; podaję obiady, kolacye oraz zimne i gorące przekąski, **piwo pilzneńskie i bawarskie.** — Prosząc o łaskawe poparcie mego przedsiębiorstwa kreślę się z głębokim szacunkiem *Wł. Koterbicki.* 4—4